Miesięcznie 1 zł. 1 egz. 30 groszy.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 24 stycznia 1937 r. Nr. 4

Pierwszy bal...

Pamiętasz, droga? — Wspomnień rozwinę Ci tęczę
I wyczaruję najpiękniejszy prześniony sen.
... Słyszysz? Z oddali tony muzyki już dźwięczą,
A Ty nieśmiało — jeszcze dziś widzę uśmiech ten... —
Z drżącym serduszkiem, w którym uczuć wrzały roje,
Cudna i świeża, jak każdy wraz wiosenny kwiat,
Szłaś wtedy z mamą (— pamiętasz swe niepokoje?)
Na wymarzony swój, pierwszy bal. Wchodziłaś „w świat".

Pamiętasz, droga? — te kwiaty, złote cekiny,
Jedwabie barwne, koronki, brylantowe skry?
Radosne pary w walczyku upojnym płyną,
Wszystko migoce, najcudniej się barwi, lśni.
... Widzę sukienkę Twą — stylową, białą, zwiewną
I na policzkach płomienisty zachwytu żar.
Odrazu paziem stałem się Twoim — królewno,
I po dziś dzień trwa Twój ujmujący dziwnie czar...

Danuta Wyrybkowska.



WOJCIECH HOLM

16)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Frieder — zawołał na przejeżdżającego chłopca — weźmiesz mnie i żonę do miasta?

A gdy ten potwierdził skinieniem głowy, Mayer wziął Zuzię za rękę, pobiegł z nią na gościniec, wsadził ją na wóz i wskoczył sam i wio! — zawołał zadowolony, że już jedzie.

ROZDZIAŁ LV

Niespodziana pomoc

W obozie cygańskim wielka panowała radość, bo cyganie obchodzili jedną z najradośniejszych swoich uroczystości i weseli się bardzo głośno.

Cała banda była już zgromadzona z wyjątkiem Ignacego. Był to wyrostek, którego używali cyganie do posyłek, a którego teraz wysłała jedna z kobiet zajętych przy ogniu, aby złapał a właściwie skradł jeszcze gdzieś kilka kur.

Ignacemu chodziło o to, aby najwięcej użyć z przyjemności tego świątecznego dnia, dlatego też pospieszył się, jak tylko mógł z wypełnieniem tego zlecenia.

Właśnie ukazał się na skręcie, zziajany z prędkiego chodu, a z worka, który dźwigał pod pachą, dolatywało od czasu do czasu wiele obiecujące gdakanie.

Rzuciwszy cały wór jednej ze starych cyganek, wmieszał się niezwłocznie między tańczących.

— Coś słyszał nowego we wsi? — spytała Ilona z demonicznym błyskiem w oczach.

— Na leśniczówce płacz i smutek, odpowiedział Ignacy, podnosząc Ilonę przy tym w tańcu, aby się pochwalić swoją siłą.

— Czy Sylwia umarła? — żywo zapytała Ilona.

— Panienka? — spytał Ignacy — panienka nie, ale pani leśniczyna umrze, powiada doktor.

Ilona zbladła jak ściana. Pułapka, którą zastawiła na Sylwię, spadła na kogo innego.

Staruszka Tara nie spuszczała oko z Ilony.

Teraz rzekła powoli słabym głosem:

— Strzeżcie się przelewać niewinną krew, bo dzień sądu nadejdzie nim się spostrzeżecie.

— A co się stało leśniczynie? — spytała Ilona.

— Otruta — mówi doktor — odpowiedział Ignacy spokojnie.

Ilona odpowiedziała nieprzyjemnym uśmiechem.

— A któżby ją truł — zawołała — komu ona na zawadzie stoi? Ani taka bogata, że ktoś chciał spadku po niej.

— Ani taka ładna, żeby ją kto zabijał z zazdrości i nienawiści — dorzuciła Tara.

Ilona spojrzała na nią gniewnym wzrokiem, potem porwała swego tancerza i zaczęła z nim tańczyć jak szalona. Widocznie ozwał się w niej głos sumienia, który ona w ten sposób chciała zagłuszyć.



Ponieważ w wiecznie słonecznej Kalifornii brak naturalnego śniegu — bogate panie szukają przyjemności na górze soli.

Od czasu do czasu wydawała głośne, dzikie okrzyki radości, a głośny jej śmiech słychać było w całym obozie.

Tara przywołała skinieniem palca wróżkę Irenę.

— Słuchaj Ireno — rzekła jej — stara jestem, ale z woli Boga. Wiszna dość jeszcze młoda, by uratować niewinne życie. Czy chcesz opuścić naszą uroczystość, aby mi pomóc?

— Dla mnie nie ma uroczystości — odpowiedziała smutno piękna dziewczyna. — Poślij mnie, gdzie chcesz, matko, a popędzę lotem sokoła.

— Więc pojedziesz ze mną — rzekła Tara. Załóż konia do wózka, pojedziemy do leśniczówki w Königswalden.

Irena przywołała starego konia o kudłatej sierci zaprzągnęła do wózka, z natężeniem pomogła starej wsiąść i wskoczyła sama.

Terb szczekając kręcił się koło wózka, ale Irena kazała mu zostać.

Usłuchał więc natychmiast, chowając ogon pod siebie i skomląc.

Trwało nie wiele dłużej niż godzinę, jak obie zobaczyły leśniczówkę.

— Nie bardzo uprzejmie nas tam przyjmą — rzekła Tara — ale my sobie z tego nic nie róbmy, bo przychodzimy w dobrych zamiarach.

Małomówna Irena odpowiedziała Tarze skinieniem głowy.

Przed leśniczówką pomogła staruszce wysiąść i do dworku wejść.

Wewnątrz panowała cisza. Nagle usłyszała straszny okrzyk bólu.

Irena wzdrygnęła się, a staruszka przyśpieszyła kroku. Żelazną siłą woli przemogła niemoc trwogi i siła szybko, jak młoda dziewczyna. Skurczoną, suchą dłonią otworzyła drzwi do sypialni.

Tam na łożu wiła się w boleściach Magdalena Herbertowa.

U nóg jej gorzko płacząc, klęczała Sylwia, a u wezgłowia blady i zrozpaczony stał leśniczy.

Zobaczywszy cygankę, skinął niechętnie ręką.

— Idźcie teraz z waszymi wróżbami — rzekł — nie mamy głowy teraz na takie rzeczy w naszem nieszczęściu.

— Nie przyszłyśmy odkrywać zasłony przyszłości — odparła stara — chcemy pomóc chorej.

— Ach, gdybyście to mogły zrobić — zawołała Sylwia z świeżą nadzieją.

— Tu Bóg tylko mógłby pomóc — rzekł Herbert stanowczo.

— Stoję już jedną nogą w grobie — odparła Tara — com powiedziała, jest prawdą, jak wogóle nie splamię ust swoich kłamstwem, bo każde słowo może być mojem ostatniem słowem, a wtedy kłamstwo mogłoby oddać mą duszę Ojcu kłamstw.

Mówiąc to, pochyliła się nad chorą i ostrożnie podniosła jej powieki z nad oszklonych źrenic.

— Najwyższy czas — rzekła — dajcie mi prędko łyżeczkę.

Sylwia chwiała się w obawie, żeby chorej bardziej jeszcze nie zaszkodzić, a w nadziei, że cyganka może ból przynajmniej jej uśmierzyć.

Herbert zrozumiał ją i rzekł do niej ochrypłym szeptem:

— Doktor stracił nadzieję. Cyganka zaszkodzić jej nie może.

— Ufajcie mi — prosiła Tara — jeszcze jest czas, za 10 minut może być za późno.

Gdy jej podano łyżeczkę, wyciągnęła z kieszeni słoiczek z jakimś płynem i odliczyła na niej 7 kropel. Potem zręcznie otworzyła silnie zaciśnięte szczęki chorej i wlała jej płyn do ust i w tej samej chwili szybko jej zamknęła usta, tak, że chora była zmuszoną połknąć płyn mechanicznie.

— Teraz mi dajcie wełnianą kołdrę, prześcieradło i wannę z zimną wodą.

Sylwia usłuchała wskazówek cyganek, ale Herbert obawiał się, że lada chwila przerwie się nić życia kochanej jego żony i nie mógł na to patrzyć. Wysunął się więc z pokoju.

Tara wrzuciła prześcieradło do wanny z zimną wodą i rzekła:

— Trzeba je dobrze wykręcić.

Sylwia natychmiast usłuchała, podczas, gdy cyganka z pomocą Ireny rozebrała z bielizny leśniczynę.

Potem owinęła chorą w mokre i wykręcone prześcieradło i w kołdrę a następnie położyła na nią ciepłą pierzynę.

Skutek był zadziwiający. Boleści ustąpiły, osłabione ciało jeszcze tylko drżało lekko, ale chora już nie jęczała. Rysy jej wykrzywione bólem, uspakajały się powoli. Powieki zamknęły się. Oddech stawał się cichy, ale regularny.

Zasnęła.

— Uratowana — rzekła Tara — nie dawajcie jej przez 7 dni nic prócz mleka i pozwólcie jej spokojnie spać.

To rzekłszy zamierzała odejść, ale Sylwia zatrzymała ją.

Płaczliwym i drżącym głosem ze wzruszenia, nie wiedziała jak dziękować

— Weź wszystko, co mam, bo wszystko to jest niczem w porównaniu z życiem mojej najukochańszej matki.

Tara łagodnie, ale stanowczo odmówiła jej. Położyła starą, zwiędłą swą rękę na głowie Sylwii i rzekła uroczyście:

— Bogowie światła niechaj ci błogosławią: Ojciec wszechświata, niech trzyma prawicę nad tobą i twoim pokoleniem.

Przez ciebie ród hrabiowski Wildensteinów kwitnąć będzie w najodleglejsze czasy.

To rzekłszy, skinęła na Irenę i wyszła z pokoju zupełnie nie zważając na prośby Sylwii, żeby przyjęła królewskie dary.

— Jeśli mnie chcesz wynagrodzić, to nie tak — rzekła z królewską godnością, ale bądź dobra dla bezdomnych cyganów.

Leśniczy z radosnem niedowierzaniem słuchał wieści o uratowaniu życia małżonki i wybuchnął rzewnym płaczem, gdy zobaczył ją pogrążoną w bardzo głębokim śnie.

Przez trzy tygodnie stan chorej wymagał troskliwej opieki.

Sylwia dozorowała ją w dzień i w nocy, odczytywała jej z oczu wszystkie zachcianki i o niczem innem nie myślała, jak tylko o tem, żeby uśmierzyć jej cierpienia i osłodzić łoże boleści.

Usiłowania jej nie pozostały bez skutku. Stan chorej polepszał się coraz bardziej i pewnego pięknego dnia w fotelu wyłożonym poduszkami, pani Herbertowa blada i osłabiona, ale już o własnych siłach siedziała pod cieniem dużej lipy i przypatrywała się białym obłokom.

Sylwia siedziała obok matki, robiąc robotę ręczną, ale myśli jej uwolnione od troski o matkę, troszczyły się teraz o los narzeczonego.

Pełniąc obowiązki dziecka, zaniedbała poszukiwania za Wernerem prawie przez miesiąc.

Gdzie go teraz szukać?

Prosiła Boga o pomoc, żeby jej cudem jakim zesłał wskazówkę:

Dobrze znany jej głos, zbudził ją z głębokiej zadumy.

Przed nimi stał Moszko, handlarz okrężny, który co roku zaglądał do Königswalden.

— Całuję rączki pani — rzekł — słyszałem, że pani leśniczyna była chora. Nu, niech Pan Bóg dopomoże, żeby pani jeszcze sto lat żyła.

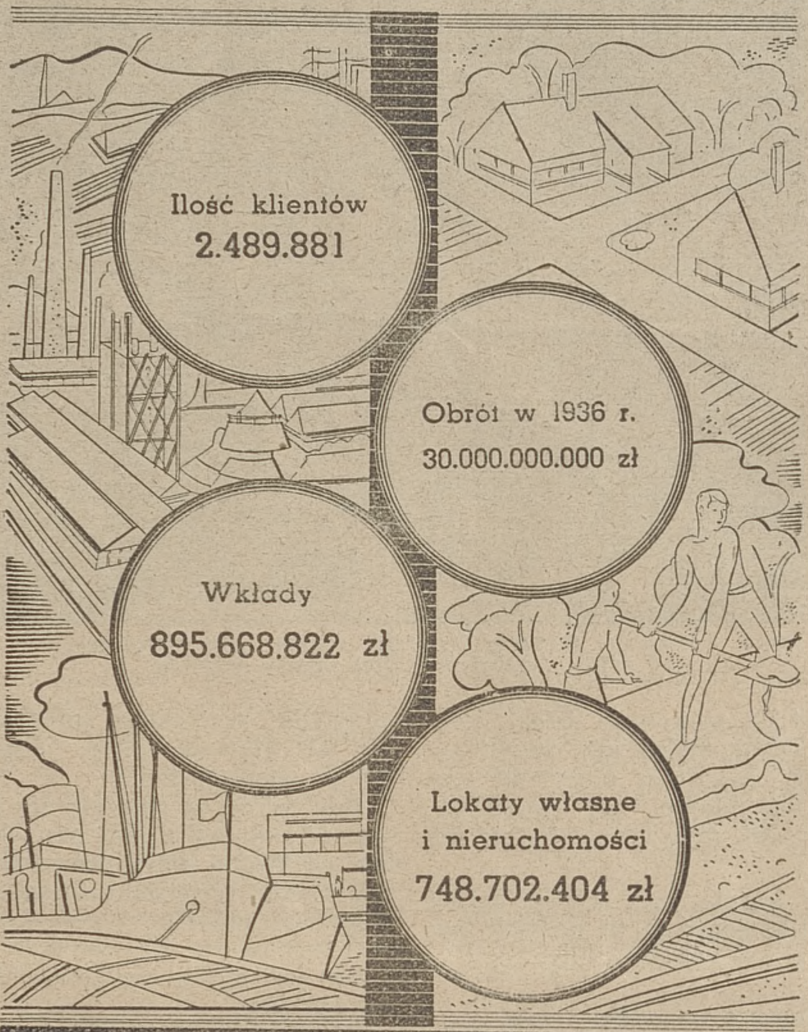
— Dziękuję ci — odpowiedziała pani Herbertowa z uśmiechem wdzięczności — i tak ledwie uszłam śmierci. Będę zadowoloną, jeżeli mi Bóg pozwoli jeszcze z 10 lat pożyć.

— Bogu dzięki, że pani już lepiej — rzekł żyd — tylko teraz trzeba uważać, żeby się nie zaziębić. Do zimy nie daleko. Trzeba się zaopatrzyć w ciepłą flanelę. Mam ładne, bardzo trwałe, ciepłe i tanie podstaniczki na sprzedaż.

— Dziękuję ci — odparła Herbertowa — dziś jestem jeszcze za słaba na robienie interesów. Wszystko mnie męczy. Zresztą jesteśmy już we wszystko na zimę zaopatrzone.

— Ale dla panienki mam coś ładnego — rzekł i zaczął gorliwie czegoś szukać między swoimi fatałaszkami. Nareszcie wyciągnął kilka kartek pergaminowych, na których różnobarwnym tuszem, kunsztownemi literami było coś wypisane.

PKO
BILANS ZA ROK 1936



PEWNOŚĆ — ZAUFANIE

— Prawdziwy rękopis z XIV wieku! — oświadczył handlarz dumnie. — a że panienka bardzo lubi takie rarytary i antyki, więc umyś nie kupiłem ten rękopis we Wiedniu za drogie pieniądze, aby go panience przywieźć. Nie chcę żadnego zysku, chcę tylko, aby mi panienka zwróciła pieniądze, które ja wydałem, bo panienka zawsze taka dobra dla mnie była. Rękopis ten jest wart, tak oczy zamknąć, 10 reńskich, ale ja panience spuszczę połowę ceny.

— Co tam stoi napisane, na tym s'arym pergaminie? — spytała leśniczyna z babską ciekawością — a jak to pięknie malowane.

Sylwia zaczęła dokument tych niewyraźnych hieroglifów bacznie przeglądać, gdy nagle krew uderzyła jej do twarzy.

— Kupię ten rękopis, Moszko! — zawołała, i tuląc stary pergamin do łona, pobiegła do domu, aby mu przynieść żądane pieniądze.

Wróciwszy, wręczyła handlarzowi 5 złotych, które on z uśmiechem zadowolenia włożył do kieszeni.

— Czy panienka niczego więcej nie kupi? — zapytał Moszko.

— Na dziś nic mi już więcej nie potrzeba, kochany Moszko — rzekła Sylwia, która śpiesznie wróciła do świeżo nabytego manuskryptu, i na nowo w nim się zatopiła.

— Czy to jakaś legenda? — spytała pani Herbert.

— Jeszcze sama dobrze nie wiem — odpowiedziała Sylwia — jest to pisane w języku staroniemieckim i dlatego trzeba mi dłuższego namysłu, aby sens połapać!

— Opowiesz mi więc później — zauważyła pani Herbert. — Czy wiesz dziecko, że powietrze bardzo mnie znużyło; wróciłabym już chętnie do domu, aby się położyć.

Sylwia podskoczyła usłużnie, aby matce pomóc. Zaprowadziła ją do domu, ułożyła starannie na kanapie, nakryła kocami i usiadła tuż koło niej przy oknie, aby być blisko, gdy chora czego zażąda.

Ale pani Herbert nie potrzebowała jej usług, bo zasnęła smacznie i spokojnie, a Sylwia mogła bez przeszkody ślęczeć nad nowym swym nabytkiem.

Siedziała z rozpromienioną, pałącą twarzą i mozoliła się, aby powiązać i odczytać te różnokształtne litery, które przed kilkuset laty skreśliła ręka, dawno w proch obrócona.

Twarz jej okrywała się coraz żywszym rumieńcem, oczy nabierały coraz więcej blasku, pierś podnosiła się szybko.

Gdy wreszcie skończyła czytanie, padła na kolana i szeptała wzruszonym drżącym głosem:



Pola ryżowe nadają krajobrazowi chińskiemu oryginalny charakter. Jak wiemy, ryż musi stać stale w wodzie — dlatego pola trzeba sztucznie nawadniać.

— Dzięki Ci, stokrotnie dzięki, wielki Boże! Wysłuchałeś mej modlitwy! Ten biedny handlarz, który mi dziś przyniósł ten rękopis, był Twoim wysłańcem! Niech imię Twoje będzie pochwalone.

Co było treścią tego starego manuskryptu? Podajemy ją tu naszym czytelnikom w dosłownem tłumaczeniu:

Uwięziona w zamku Felseg

Przed dwudziestu może laty żył w zamku Felseg rycerz Bodo z Felseg i szlachetna małżonka jego, Waltrauta.

Dostojna para posiadała wszystko, co ludzkiemu sercu do szczęścia było potrzebne. Jedynie co im brakowało, to potomstwa, ale że pani zamku była bardzo młodą, można się było jeszcze spodziewać, błogosławieństwa.

Rycerz Bodo nie wiele sobie też z tego robił, że piękna, rzeźbiona kołaska zawsze jeszcze próżną była; przeciwnie, zdobił on ją jak mógł złotymi łańcuchami i ciężkiemi szpangami, które kupował u przejezdnych handlarzy.

Gdy Waltrauta życzyła sobie jedną suknię, dostawała zaraz trzy naraz, a gdy była niezadowolona z jakiejś służącej, rycerz rozkazał parobkom wsypać jej 25 na gołą skórę, za to, że się odważyła rozzłościć swoją władczynię.

Waltrauta cieszyła się wielkiem poważaniem w całym kraju.

Na każdym turnieju widzieć ją można było we wspaniałej sukni ze złotego brokatu, w perłach i drogich kamieniach.

Przewyższała ona wszystkie szlachcianki z okolicy wykwintnością swoich toalet, kosztownością biżuterii, a szczególnie uroczo - piękną powierzchownością.

Zdarzyło się właśnie w tym czasie, że pewien młody rycerz imieniem Wolf von Trautenau, ściągnął na siebie niełaskę cesarza tak dalece, że po całym kraju rozszedł się rozkaz władcy, aby przyłapać zuchwałego młodzieńca, który we więzieniu miał odpokutować swoje przestępstwo.

Gdy wieść ta rozeszła się po kraju, zaczęli wszyscy dawni przyjaciele stronić od Wolfa, który poznał ku wielkiemu swemu utrapieniu, że na nich wcale liczyć nie może.

Gdziekolwiek się zwrócił, wszystko było, jak gdyby się przeciwko niemu sprzysięgło.

Opuściwszy swój zamek, w którym się nie czuł bezpiecznym, błądził po kraju, gnany i prześladowany, jak niegdyś Kain.

Po długich dopiero wędrówkach przybył do zamku Felseg i zwierzył się właścicielowi tegoż ze swego nieszczęścia, ufając jego wspaniałomyślności.

Było to zupełnie po myśli Boda spłatać figla cesarzowi i państwu i właśnie wziąć w obronę i opiekę banitę. Zaprowadził więc wygnańca do kaplicy zamkowej i przysiągł mu, że go będzie bronił do ostatniego tchu, i we wszystkiem dbać będzie o niego, jak o rodzonego brata.

Waltrauta zadowolona była z nowego kuzyna, który do jej śpiewu bardzo ładnie umiał akompaniować na lutni.

We troje teraz chodzili na polowania, we troje ucztowali, we troje siadywali przy kominku, skąd na cały zamek rozległ się wesoły śmiech pani domu.

Tak minęły tygodnie, gdy raz się zdarzyło, że przyjaciel i towarzysz broni pana na Felsegu, przysłał do niego posłów z prośbą o pomoc.

Czyhał on był na kupców wędrownych i napadł na nich, oni jednak o tyle byli ostrożni, że wzięli ze sobą orszak straży zbrojnej, o czem niedbałe straże rycerza nic mu nie doniosły.

Jakże się zdziwił szlachetny rycerz, gdy szykując się do ataku na kramarzy, zobaczył za nimi zbrojny orszak, który z odwagą lwa rzucił się na niego i jego ludzi i po krótkiej walce zwyciężywszy wszystkich, zabrał do niewoli.

Teraz pozostają oni wszyscy w niewoli, w ciemnej wieży, a mieszczanie żądają ogromne sumy okupu.

W tej niedoli zwraca się uwięziony rycerz do przyjaciela i pobratymca, rycerza Boda na Felsegu.

Jeden z jego orszaku, mały chłopiec nie bardzo dobrze pilnowany, za nagrodę konia z rzędem i 10 złotych, który mu przyrzekł pan jego, ważył się spróbować ucieczkę, aby zanieść poselstwo do Felseg.

Sztuczka mu się udała i teraz on wzruszającymi słowy, prosił o pomoc dla swego pana.

Rycerz Bodo nie dawał się dwa razy prosić, gdzie chodziło o to, aby pomóc nieszczęśliwemu.

Zebrał się i uzbroił swoich ludzi, pożegnał się z piękną żoną i powierzył opiekę nad nią, jak i nad majątkiem, przyjacielowi i gościowi.

Do mieszczan, o których chodziło, wysłał zapowiedź walki.

Pewny był, że to miasto zdobędzie szturmem, ale zacni obywatele bronili się dzielniej niż on sądził.

Dzień mijał za dniem, tydzień za tygodniem, a bramy miasta były zamknięte.

Tak minęła wiosna i skwarne lato zastało rycerza Boda przed murami miasta, którego mieszkańcy tak dzielnie bronili się.

Aleź oto pewnego dnia, dostała się do obozu wojaków z Felseg, dziewka służebna z zamku Felseg, ale piękna niegdyś Urszula, głowę miała ogoloną, a nogi ledwie wlokła za sobą, gdyż ciało jej smagane rózgami osłabło i piękność jej znikła zupełnie.

Ochrypłym głosem prosiła, aby ją zaprowadzić do pana.

Gdy ją przyprowadzono przed rycerza Boda, prosiła ,że chce z nim zostać sama, bo ma mu tajne wieści donieść.

Rycerz ucieszył się sądząc, że radosne wieści przychodzą od jego żony.

Nie podobał mu się wprawdzie posłaniec, ale brał to na karb krótkiego wogóle, kobiecego rozumu.

Oddalił więc wszystkich świadków i spytał dobrodusznie:

Powiedz Urszulo ,co ci moja żona kazała powiedzieć. Zdaje mi się, że już odgadłem nawet co. Jeżeli tak jest, jak ja sobie myślę, to nie pożałujesz, żeś ty mi pierwsza przyniosła tę wieść radosną, a ci, którzy tak ciebie zeszpecili, odpokutują za to. Nauczę ja zuchwałych mieszczan, szanować posłów mojej żony.

Urszula nie mogła się zdobyć na odpowiedź, lecz po długim milczeniu dopiero, wyrzekła ochrypłym głosem:

Panie, podczas, gdy ty tutaj trudnisz się w obozie, żona twoja hańbi twoją cześć.

Były to ostatnie słowa Urszuli.

Straszliwy gniew porwał rycerza.

Kłamiesz dziewko! — zawołał wściekły i przebił ją nożem.

Dziewka padła na ziemię zalana krwią. Skonała nie zmówiwszy nawet pacierza, ale jej konający wzrok z takim wyrzutem spoczął na rycerzu, że dreszcz przeszedł po jego ciele.

Wyjął z za pasa srebrną trąbkę, której przeraźliwy świst zwołał jego orszak.

Zabrać ją, rozkazał hrabia, pokazując zakrwawionego trupa, nie mając jednak odwagi spojrzeć na nią po raz drugi.

Nazajutrz rano złożono Urszulę do grobu sporządzonego na prędce.

Wojacy szeptali sobie różne przypuszczenia, nikt jednak nie domyślał się prawdy, dla której hrabia bez spowiedzi i komunii, śmiercią ukarał Urszulę.

Hrabia zaś nie mógł odzyskać już spokoju. Wprawdzie perswadował sobie, że Urszula kłamała aby zemścić się na pani swej, za jakąś ostrą karę, ale zazdrość obudziła się u niego i dręczyła go bezustannie.

Oddał więc dowództwo jednemu z najstarszych swoich wojaków, wdział skromne szaty, wsiadł na niepozornego, ale wytrwałego konia i popędził do domu.

Nie może być, pocieszał się w drodze. Waltrauta jest wierna, a on by się też nie ważył mówić jej o miłości i tak haniebnie łamać prawo gościnności.

Ale mimo, iż w ten sposób usiłował tłumić zazdrość, zdawało mu się, że każdy ptak na drzewie szydzi z niego i kukułka zeń się naśmiewa.

Po kilku dniach spiesznej podróży, znalazł się w rodzinnych stronach.

Kryjąc się po najsamotniejszych ścieżkach zbliżył się do zamku, którego wieże ujrzał pewnego skwarnego wieczoru sierpniowego.

Przywiązał konia w gęstwinie, żeby go nie zdradził rżeniem i pieszo już, przekradał się do zamku, ścieżką stromą, po której wspinał się z niebezpieczeństwem życia.

Tak dostał się niespostrzeżony przez strażnika wieżowego do ogrodu zamkowego a stamtąd do zamku.

Chciał zajść niespodzianie żonę i zadać kłam mściwym oszczerstwom zamordowanej dziewki.

Czuł już na szyi swojej miękkie jej ramiona, obejmujące go na przywitanie i wezbrała w nim zdwojona miłość do małżonki.

Wtem zdawało mu się, że w altanie słyszy jakieś szepty.

Z rykiem szalonego lwa rzucił się w tamtą stronę i zobaczył właśnie to, czego się najbardziej obawiał.

Wolf w jednej chwili blady jak ściana wyciągnął sztylet i pchnął nim w ramię Boda.

Potem ze zwinnością tygrysa umknął, zostawiając przedmiot grzesznej miłości, na pastwę rozwścieczonego męża.

Nieszczęśliwa kobieta skamieniała ze zgrozy.

Zabij mnie, Bodo, prosiła podnosząc ręce jak do modlitwy.

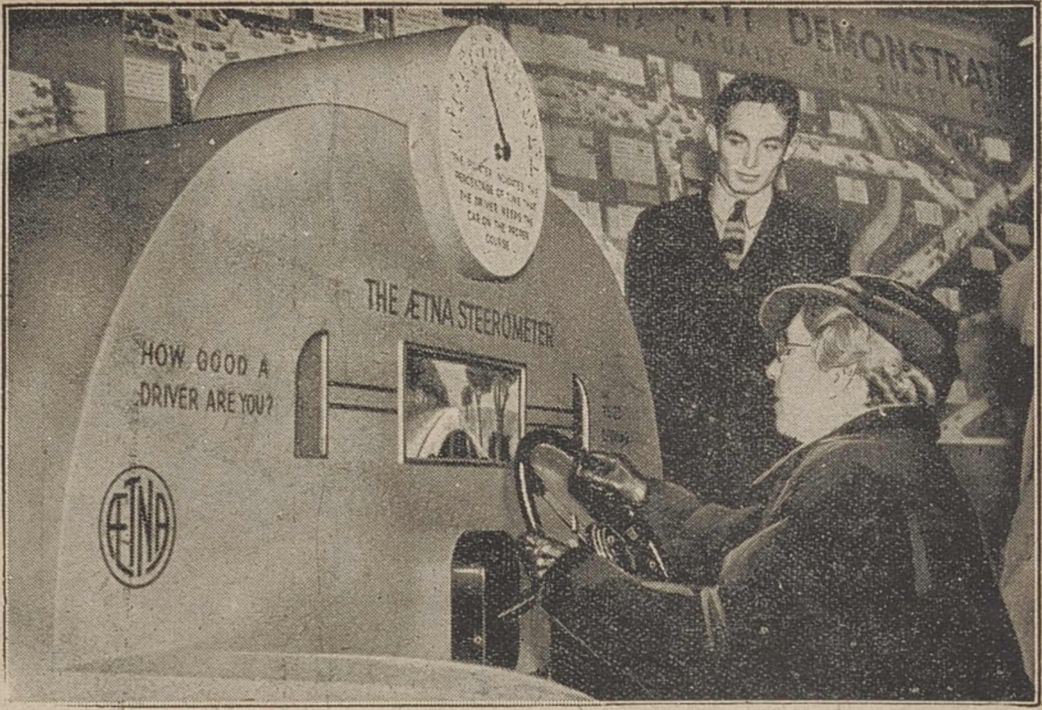
On zaś stał i patrzał na nią osłupiałym wzrokiem.

Nie splamię mego czystego ostrza twoją nieczystą krwią. Chodź ze mną!

Ona usłuchała mechanicznie.

Służba ze zdziwieniem poznała w tym skromnie ubranym przybyszu swego pana.

Ponury, milczący, nie odpowiadał na pozdrowienia służby i kazał się wszystkim wynosić z zamku, w którym sam został z żoną.



Amerykańskie zakłady ubezpieczeniowe wprowadziły dla automobilistów kursy kierowania samochodami, ułatwiając przy pomocy małego ekranu filmowego oraz zegarów, kontrolę nad samochodami.

Gdy nazajutrz służba wróciła do zamku, pani nie było ani śladu. Znikła tajemniczym sposobem i służba szeptała sobie, że uciekła za swoim kochankiem.

Dziwiła się tylko, że szat swoich i klejnotów nie zabrała ze sobą. Brakowało zaś tylko tych, które miała na sobie w dzień powrotu rycerza.

Bodo kazał odwołać do domu swoje zbrojne hufce, a mieszkańcom oblężonego miasta kazał powiedzieć, że odtąd nie dba o przyjaciela ani o nieprzyjaciela.

Gdyby jednak zależało komu na tym, aby siły swe z nim zmierzyć, to musi go odszukać na jego własnym gruncie.

Spokojni mieszczanie nie mieli jednak najmniejszej do tego chęci.

Przeciwnie, byli mocno zadowoleni, że się oblężenia pozbyli i solennie obchodzili odwrót swych nieprzyjaciół.

Uwięziony zaś rycerz, uznawszy, że od Boda żadnej pomocy więcej spodziewać się nie może, zapłacił mieszczanom, którzy go wzięli z ciężkiem sercem, wymówiony okup, poprzysiągł zemstę i smutny powrócił do swego grodu.

Gdy jednak tylko trochę wypoczął i do sił przyszedł, poszedł znów na czaty i rozpoczął dawne rozbójnicze życie.

Czynił to tylko ostrożniej i był odtąd bardzo nieugiętym i okrutnym dla nieszczęśliwców, którzy się w jego ręce dostali.

Rycerz Wolf zginął nie bardzo waleczną śmiercią w jakiejś potyczce, a wieść o tym doszła do zamku Felseg.

Usłyszawszy to rycerz Bodo, roześmiał się po raz pierwszy od swego powrotu, ale był to taki straszny, piekielny śmiech, że przerażał wszystkich, do kogo doleciał.

Wogóle jakiś zły duch wstąpił w niego od pewnego czasu.

Po całych dniach i nocach przebywał — knując coś — w obszernej hali. Obok niego stał ciężki, gliniany dzban, napełniony doborowym winem, ale szlachetny ten napój, w żaden sposób nie mógł rozproszyć jego melancholii. Do tego cierpiał jeszcze na ranę, którą mu Wolf zadał.

W przeciągu kilku lat postarzał się nie do poznania.

Gdy pewnego dnia Bodo wybrał się na polowanie, ujrzał wśród olbrzymich lodów i śniegów postać kobiecą, która groźnie ku niemu wyciągała ręce.

— Urszulo! Urszulo! — krzyknął hrabia przerażony.

Spłoszony tym okrzykiem koń, na którym siedział, stanął dęba, zrzucił swego pana ze siebie na ziemię.

Prędko pospieszyli giermkowie na pomoc panu swojemu. — Chcieli go podnieść, ale on opierał się im.

— Jestem śmiertelnie zraniony — jęknął — ale podnieście w ostatnim pokoju średnią płytę kamienną, tam znajdziecie...

Urwał.

Krwotok, który mu się wydzielił z ust, nie pozwolił mu skończyć zdania.

Gdy wreszcie krwotok ustał, hrabia Bodo już nie żył.

Przyniesiono go do zamku.

Pełni ciekawości pospieszyli do ostatniego pokoju, aby podnieść średnią płytę i ku wielkiemu swymu zdziwieniu zobaczyli, że płyta ta zakrywa wstęp do podziemnego schowku.

Zeszli na dół z kagańcem i znaleźli tam podobną do szkieletu postać ludzką, w której z trudem i ogromnym przerażeniem rozpoznali tak piękną niegdyś Władczynię tego zamku.

Więcej niż piętnaście lat cierpiała ona w tej ciemnej norze.

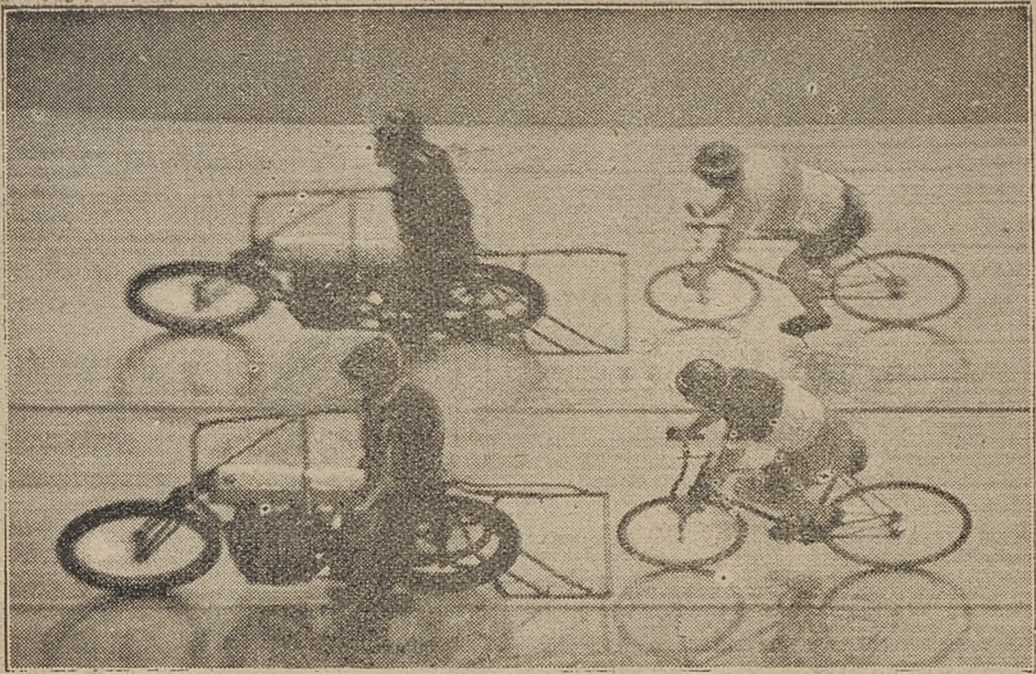
Gdy ją wyprowadzono na światło dzienne, skonała...

. . . .

Rękopis kończył się prośbą piszącego do czytelników, aby się pomodlili za duszę tej nieszczęśliwej kobiety.

Mimo całej okropności tej starej historii, zabłysnął w oczach, tej zwykle tak współczującej Sylwii jakiś promyk nadziei, po przeczytaniu rękopisu.

Więc ta płyta przecież daje się odsunąć, a usiłowania jej wtedy dlatego



Raid rowerowy Niemcy—Italia zaczęty w niemieckiej hali w Berlinie zakończony został zwycięstwem Niemców w stosunku 80:50 punktów. W trzeciej 20-kilometrowej trasie jadący w doskonałej formie Lohmann minął Włocha Mancza, osiągając po raz trzeci zwycięstwo.

były bezskuteczne, bo wzięła całkiem inną.

W przystępie wzruszenia przycisnęła do ust rękopis, który jej przysporzył taką cenną wskazówkę.

Mimo zapewnień Alojzego, że w tym ostatnim pokoju nic niema ciekawego, dawała się przecież jedna płyta odsuwać, a pod nią było wejście do więzienia, w którym często przez krótszy lub dłuższy czas przebywali więźniowie.

Sylwia byłaby najchętniej pobiegła natychmiast do wsi i zawołała wszystkich włościan, aby jej pomogli uratować jej narzeczonego. Wstrzymał ją od tego kroku tylko stan zdrowia matki.

Lekarz bowiem oświadczył, że każda, choćby najmniejsza nawet irytacja, może spowodować natychmiastową jej śmierć.

Czyż wolno jej było stawiać na kartę życie swojej matki.

Była w rozterce.

Z jednej strony chora matka, którą trzeba było oszczędzać z obawy o jej życie, z drugiej zaś narzeczony, znoszący w swym ciemnym więzieniu piekielne katusze.

Postanowiła zwrócić się do ojca po radę i spodziewała się że przecież musi znaleźć jakieś wyjście z tego położenia.

Z rękopisem pod pachą udała się do kancelarii ojca i opowiedziała w krótkich słowach odkrycie, które zrobiła za pomocą starego rękopisu.

Z naprężoną uwagą słuchał Herbert słów swojej córki i żadno z nich nie spostrzegło przytulonej do szyby okna ciemnej twarzy Ilony, która ze złowrogim błyskiem w oczach, podsłuchiwała ich rozmowę.

— Hrabiego będzie trzeba jak najprędzej oswobodzić, moje dziecko — rzekł Herbert — ale muszę działać z jak największą ostrożnością, aby się nasi wrogowie nie dowiedzieli i nie pokrzyżowali nasze szyki. Musimy więc dobrze najpierw pomyśleć, nim przystąpimy do dzieła.

BEZ DACHU, BEZ ODZIEŻY, BEZ JEDZENIA staje tysiące ludzi przed zimą. DAJ CO MOŻESZ! Ratujmy od zimna i głodu.
KAŻDY GROSZ złożony na P. K. O. nr. 70.200 przyniesie ulgę bezrobotnym.

ROZDZIAŁ LVI.

Zmiany

W brzydki dzień październikowy szalał ostry wiatr na ulicach Wiednia, unosząc zżółkłe liście drzew i strącone kapelusze przechodni.

Hortensja wpatrywała się swojemi niebieskiemi, dziecinnymi oczyma w ożywiony ruch uliczny. Siedziała przy oknie z grubą książką w ręku, była jednak roztargnioną, zamyśloną i patrzyła po za otwarte kartki tejże.

Od czasu do czasu wzrok jej spoczął na Leonie, który tak był zatopiony w swoich skryptach, że nie miał nawet spojrzenia dla swojej młodej żony.

W przeciągu ostatnich kilku tygodni zaszła wielka zmiana u młodej pary.

Poznać to można było po niedbałem ubraniu tak zwykle eleganckiego Leona i po ponurej jego twarzy z głębokim fałdem między oczyma.

Siedział on nad książkami i uczył się z gorączkowym pośpiechem, a widok jego sprawiał Hortensji niewymowną przykrość. Westchnęła ona cicho i pochyliła się nad swoją książką.

I ona była zmieniona. Straciła coś ze swej dziecinności, nie straciwszy jednak nic ze swego uroku.

Bujne jej jasne włosy spięte były w modną fryzurę, bo Leon uważał, że spuszczone włosy, które dawniej nosiła, zanadto były w oko wpadające. Twarz jej zmizerniała trochę, a oczy nabrały smutnego wyrazu. Wszystko to razem sprawiało, że nabrała ona więcej godności i wyglądała dojrzalszą, niż przed kilku tygodniami jeszcze, gdzie miała minę prawdziwego dzieciaka.

Ostatnie tygodnie przyniosły młodej parze przykre doświadczenia.

W pierwszych miodowych tygodniach wspólnego ich pożycia oddalał Leon od siebie każdą myśl o trzeźwej rzeczywistości i wymaganiach życiowych. Oddawał się zupełnie szczęśliwej teraźniejszości nie myśląc o przyszłości.

Otaczał młodą swą żonę zbytkami, zapoznał ją z wszystkiemi przyjemnościami wielkiego miasta, nie myśląc wcale o tem, że nieduży kapitał jego w ten sposób zmniejszyć się musi.

Gdy pewnego dnia sięgnął do swego pugilaresu z miną zamożnego człowieka, aby zapłacić czynsz, zrobił smutne odkrycie, że cała jego gotówka wynosi zaledwie kilka set reńskich.

Podziałało to na niego, jak piorun z jasnego nieba.

Leon nie przypuszczał, aby kapitał jego mógł się tak prędko wyczerpać. Był pewien, że mu wystarczy przez czas, w którym pozdaje wszystkie egzamina, aż do osiągnięcia jakiegoś stanowiska.

Ale otóż zobaczył, że fundusz ten miał się już ku końcowi, nim o przygotowaniu się do egzaminu mógł pomyśleć i nim o jakimkolwiek stanowisku, zabezpieczającym mu utrzymanie, mowa być mogła.

Powaga życia, o której Leon dotychczas nic wiedzieć nie chciał, przycisnęła go teraz z despotyczną surowością i pokazywała mu w przyszłości widmo nędzy i niedostatku.

— Trzeba będzie zmienić cały tryb życia — pomyślał. — Z eleganckiego pomieszkania przeprowadzić się do skromnego, a zamiast wykwintnych obiadów w pierwszorzędnych restauracjach, przyzwyczaić się do skromnego jedzenia. Z wycieczkami w okolicy i z teatrem będzie się trzeba pożegnać i wziąć do poważnej, natężającej pracy.

Nie wiedział tylko jak wytłumaczyć Hortensji tę nagłą zmianę w losie i jak ona to przyjmie.

Zamknąwszy pugilares, w którym zrobił tak smutne odkrycie, wszedł do drugiego pokoju, gdzie zastał Hortensję przy fortepianie.

Zwykle cieszył się Leon dźwiękiem jej głosu i był dumny z jej postępów w śpiewie, które poczyniła w stosunkowo krótkim czasie.

Dziś nie zwracał nawet uwagi na jasne, czyste, tony, które go dochodziły i jedna tylko myśl go nękała, że kosztownych lekcyj Gelliniego trzeba będzie zaraz zaniechać. Także wypożyczenie fortepianu było wydatkiem, na który sobie teraz nie mógł pozwolić.

— Hortensjo, muszę z tobą pomówić o czemś bardzo poważnem — przerwał miły śpiew swej uroczej żony.

Młoda żona wstała od fortepianu i popatrzyła swemu mężowi badawczo i czule w oczy. Poznać po niej było pewne zaniepokojenie. Wyglądała jak dziecko, które się obawia, że bezwiednie coś zawiniło, i że je czeka kara.

To też odetchnęła z ulgą, gdy Leon, posadziwszy ją koło siebie na kanapę, przemówił do niej poważnie, ale łagodnie:

— Dziecko moje, myślałaś pewno, żeś wyszła za bogatego człowieka, prawda?

— Wcale się nad tem nie zastanawiałam — odparła Hortensja niewinnie całkiem mi to obojętne, czyś bogaty, czy biedny. Kocham cię, ty mi się odwzajemniasz i to jest najważniejsze.

Leon westchnął, bo wiedział, jak trudno jej będzie wytłumaczyć, że cała ich egzystencja jest zachwiana. Nie miała ona najmniejszego pojęcia o ważnych kwestiach życiowych.

— Ale prawda — przerwał po chwili — że życie, któreśmy dotychczas prowadzili było piękne?

— Cudowne — potwierdziła Hortensja, tuląc się czule do niego.

— To się teraz wszystko musi zmienić — westchnął Leon — bo żyliśmy dotychczas ponad stan. Przede wszystkim musimy zmienić mieszkanie.

— No, to wyprowadzimy się do innego — przerwała Hortensja nie robiąc sobie wiele z tego.

— Tak, ale to nowe mieszkanie będzie o wiele mniejsze, skromniejsze i mniej wykwintne — tłumaczył jej Leon. — Musimy wyprowadzić się w dzielnicę, gdzie mieszkania są tańsze i tam wynająć na 3 lub 4 piętrze.

— A czy to takie nieprzyjemne? — spytała Hortensja zdziwiona — mnie wszystko jedno, gdzie mieszkam, bylebym była przy tobie.

Szczere to zapewnienie i nieograniczona miłość, jaka ze słów tych biła, tak była wzruszająca, że Leon zapomniał na chwilę o swem położeniu.

— Ty jesteś moim aniołem — rzekł — przyciągając ją do siebie — lecz czy będziesz miała dość siły aby dla mnie teraz ponieść niejedną ofiarę? Musimy bowiem począwszy od dnia dzisiejszego wydatki nasze bardzo ograniczyć i prowadzić skromne życie. Nie będziemy więcej mogli robić kosztownych wycieczek z panem von Feldern, ani też chodzić z nim po restauracjach na dobre obiady.

Będziemy teraz musieli siedzieć w naszych czterech ścianach.

— No, to pan von Feldern będzie mógł przychodzić od czasu do czasu na herbatę — pocieszała Hortensja.

— On niezawodnie teraz odwróci się od nas — mruknął Leon.

Ale Hortensja nie zrozumiała tego i prosiła go czule, aby nie był taki smutny i nie martwił się niepotrzebnie.

Zapewniała go również że z nim zawsze będzie się czuła bardzo szczęśliwa, chociażby on nawet był najbiedniejszym.

— Dzieckiem jesteś — rzekł Leon — i nie masz nawet pojęcia co to znaczy nędza. Czy ci będzie przyjemnie oddać fortepian i zaniechać swych lekcyj u mistrza Gelliniego?

Pytanie to wywarło na Hortensji silne wrażenie i nie przywykła do maskowania się, wyjąkn ęła:

— Co za szkoda! Nie będę mogła więcej chodzić do signora Gelliniego.

Gdy jednak zobaczyła zasępione czoło męża, dodała uspakajająco:

— Ale ja rezygnuję chętnie z fortepianu i lekcyj śpiewu, byleby mi tylko wolno było zatrzymać gitarę. Pozwolisz mi na to, nieprawdaż?

— Naturalnie — obiecywał Leon — a gdy ten najgorszy czas przecierpiemy, to zaczniesz na nowo brać swoje lekcje śpiewu i dostaniesz jeszcze lepszy fortepian, niż ten, który masz teraz.

Te obiecanki na przyszłość nie bardzo pocieszały Hortensję. Zaczęła jednak całować Leona czule i starała się ukryć, jak przykro jej było zrezygnować z muzyki, którą kochała nad życie.



Najmilsza jazda na saneczkach ma czasem nieoczekiwane zakończenie — nie psuje to jednak humoru

Rozczulające, pełne zaparcia się znalezienie Hortensji zdjęło Leonowi wielki ciężar z serca.

Zabrał on się zaraz do przeprowadzenia zmian, jakie sobie był przedsięwziął.

Nazajutrz już przeprowadzili się do nowego mieszkania w jakiejś małej uliczce.

Leon patrzył z zadowoleniem na swą młodą żonę, która była również wesołą i zadowoloną z teraźniejszych dwóch małych, skromnie umeblowanych pokoików, jak w dawniejszych, eleganckich salonach.

Po raz pierwszy, od kiedy się pobrali, zaprowadził Leon Hortensję do restauracji trzeciorzędnej, w której odtąd mieli jadać obiady.

Hortensja zdawała się i tu nie zauważać różnicy.

Gdy Leon powyszukiwał stare swe zakurzone księgi, aby się znów zabrać do nauki, prosiła go Hortensja, aby jej też dał jaką książkę, z którejby uczyć się mogła i mówiła, że nie chce próżnować, gdy on będzie pracował.

Jedyną prawdziwą ofiarą dla Hortensji było zrezygnowanie z lekcji muzyki.

Z ciężkiem sercem udała się pewnego dnia do Gelliniego, aby się z nim pożegnać.

Między tym starcem a tą młodą kobietą nawiązał się dziwny stosunek przyjacielski.

Gellini miał dla młodej i utalentowanej swej uczennicy rodzaj ojcowskiego przywiązania, ale bardziej, niż muzykalne jej uzdolnienie, pociągało go do niej podobieństwo do pewnej bliskiej mu bardzo osoby, która już dawno znikła mu z oczu i miłe jej usposobienie, któremu trudno było się oprzeć.

Mistrz chętnie witał Hortensię, a z żalem ją żegnał. Jej obecność była mu nieraz potrzebna, a jednak nigdy prawie nie zamieniał z nią słowa, któreby leżały po za obrębem muzyki i dotykało stosunków osobistych. Za sympatię, którą miał dla niej nauczyciel, Hortensja odpowiadała bardzo ciepło i serdecznie.

W dniu, w którym sądziła, że jest na ostatniej lekcji, oczy jej były pełne łez.

— Panie — rzekła — przyszłam dziś, aby panu z całego serca podziękować za pańską dobroć i pobłażliwość. Godziny, które mi były tak miłe, muszę teraz niestety przerwać.

Słowa uwięzły jej w gardle, a głos drżący mówił wyraźniej niż słowa jakiekolwiek mogą mówić.

— Jakto? — zawołał Gellini zdziwiony — ledwie przepyszny głos pani nabrał początkowo dobrej szkoły, a już pani chce przerwać? Czyżem panią czym obraził? Czym pani co złego powiedział, żem ściągnął na siebie niełaskę pani!

— O, panie! — zawołał z wyrzutem — jakżeż można tak myśleć. Był pan zawsze tak dobry i poczciwy dla swej niepojętnej uczennicy! Ale mój mąż powiada, że musimy się teraz oszczędzać — dodała, rumieniąc się — i dlatego dalej nie mogę brać lekcyj.

— Ach, jeżeli żadnego innego powodu nie ma — odpowiedział Gellini uradowany — to wypraszam to sobie jako największą łaskę, abym mógł panią dalej uczyć.

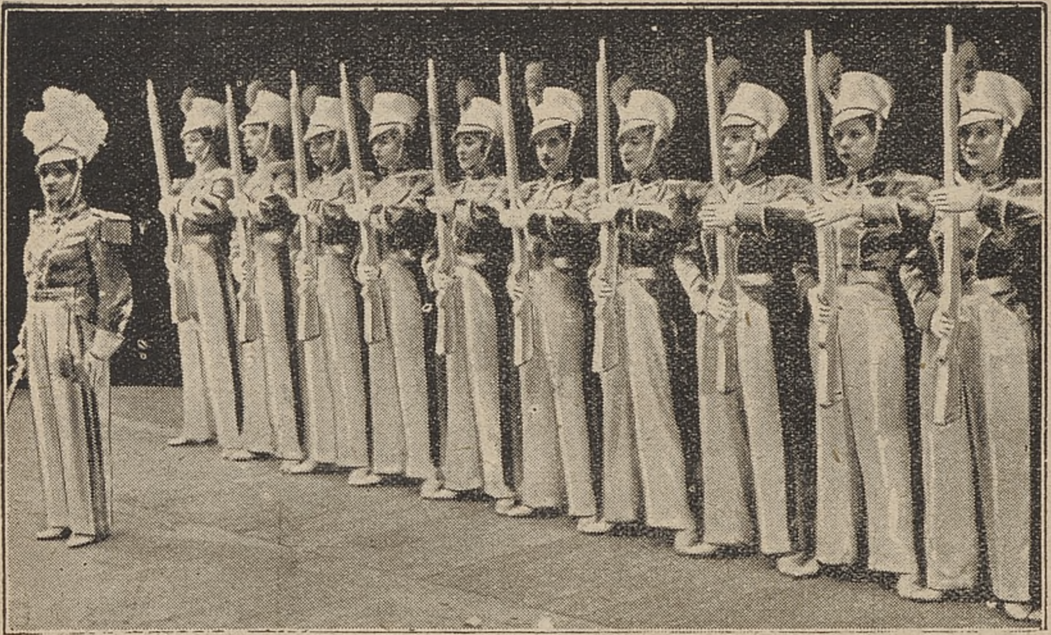
Czy nie sądzi pani, że wykształcić taki talent, jest o wiele większym zyskiem, niż korzyść materialna? A zresztą, jeżeli się wasza duma wzdraga przeciw temu, aby przyjmować to bezpłatnie, to możecie mi wynagrodzić, gdy się wasze stosunki polepszą.

Proszę panią bardzo przedstawić mężowi moje życzenie i powiedzieć, że byłbym bardzo zmartwiony, gdyby mi odmówił.

— O, jaki pan dobry — powiedziała z rozrzewnieniem Hortensja — będę bardzo prosiła męża, aby mi pozwolił korzystać z pańskiej dobroci.

Gdy Hortensja powiedziała o tej rozmowie swemu mężowi, słuchał tego ze zmarszczonem czołem.

— Nie można przyjmować od zupełnie obcego człowieka żadnych podarków, a to jest tylko podarkiem, jeżeli on ciebie darmo chce uczyć



W Monachium uroczyście święcono nadejście karnawału. W teatrze niemieckim w Monachium, gwardia księcia Ottona I, w błyszczących, nowych uniformach i postawie na baczność, pod dowództwem oficera (Bobby Eggelinger) oczekuje nadejścia karnawału.

— wołał z napuszoną miną. — Mina jego jednak zrzadła, gdy zobaczył, że Hortensja płacze.

No, no! Można także inaczej na tę sprawę się zapatrywać — uspakajał ją. — Przypuszczam, że się nasze stosunki wkrótce polepszą, a wtedy nie będzie mi trudem oddać mu tych kilkadziesiąt złotych za lekcje.

Możesz więc nadal uczyć się u niego, i nie odmawiać sobie tej przyjemności.

W ten sposób stary mistrz nie stracił ulubionej swej uczennicy, a Hortensja nie musiała zrezygnować z tak miłych jej lekcyj.

Byłaby zresztą i wśród tych skromnych stosunków zadowolona i szczęśliwa, gdyby nie to, że Leon z każdym dniem był bardzo zasmucony i zachmurzony.

Im bardziej bowiem zabierał się do nauki, im głębiej się zatapiał, tem bardziej spostrzegał, że właściwie mniej umie niż sądził, i że tem samem więcej czasu trzeba mu będzie do przygotowania się, niż przypuszczał.

Przy tem gotówka jego dzień po dniu coraz bardziej się rozpływała i mimo zaprowadzonych oszczędności, nikla coraz szybciej.

Troska o przyszłość zamiast dodawać mu bodźca do nauki, denerwowała go i przygnębiała tak, że czasem był zupełnie niezdolny do niej.

Tak, jak przedstawiliśmy na początku rozdziału, upływało młodym małżonkom życie.

On zwykle bezskutecznie zatapiał się nad jakimś starym foljałem, a ona zwykle zagłębiała się w jakąś strasznie pouczającą książkę, również jak i on bezskutecznie.

Teraz czytała w historii Beckera o jakiejś strasznej bitwie, w której zginęło tysiące a tysiące osób. Hortensja drżała, czytając ten opis.

Ażeby odwrócić myśli od tych okropności, wzięła gitarę do ręki i uderzywszy kilka akordów, zaczęła cicho wyśpiewać.

— Przeszkadzasz mi — rzekł na to Leon rozdrażniony.

— Przepraszam — rzekła przestraszona młoda kobieta, w poczuciu winy i wcale nie urażona.

Zabrała się znów do historii powszechnej, ale przewróciła kilka kartek, w których była mowa o tej bitwie i zaczęła czytać inny ustęp, czekając cierpliwie, dopóki Leon uczyć się nie przestanie, i będzie miał czas zająć się nią, choć trochę.

Wczoraj cały dzień nigdzie nie chodziła, z wyjątkiem tych kilku kroków do restauracji, dziś także cały dzień w domu siedziała i tęskniła za świeżem powietrzem.

Myślała o tem, jak tam musi teraz wyglądać w Praterze, że liście drzew pożółkły i pewno bardzo rzadko gdzie można spotkać róże.

Popatrzyła ukradkiem na złoty zegarek, który dostała od męża w dzień zaślubin i westchnęła z ulgą, bo zobaczyła, że zbliża się godzina, w której Leon skończy to nieznośne kucie, że będzie miał czas pomówić z nią swobodnie i że ona będzie mogła pójść z nim na spacer.

Wtem ozwały się na schodach krzyki jakieś i śpiewy i nim mieli czas zastanowić się nad tem co się stało, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł jakiś pan o twarzy pociętej szablą, w różnobarwnej czapce studenckiej.

— Całuję rączki pani — odezwał się śmiało — przepraszam, że tak wpadam. Przyszedłem się zapytać, czy Waldau już umarł i kiedy jest jego pogrzeb.

Hortensja nie zrozumiała tego głupiego dowcipu i patrzyła przerażona.

Ten zaś zwrócił się do Leona:

— Jak się masz, stary kujonie! Cóż to znów, nad książką pleśniejesz! Bierz starą czapkę i chodź ze mną. Posłali mnie po ciebie, abym cię im dostarczył żywego lub umarłego.

Leon wstał i przysunął mu krzesło.

— Jak się masz, Stein? Siadaj! Bardzo to ładnie, że o mnie pamiętacie, ale niestety, nie mogę pójść do was.

— Co? nie możesz? Mylisz się! Ja, Leopold Stein, przyrzekłem im, że cię przyprowadzę. Nic ci nie pomoże, zaśpiewał fałszywym dyszkantem.

— Rzeczywiście nie mogę, zamówiłem się gdzieindziej — bronił się Leon.

— Zamówiłeś się? Gdzie — pytał Stein — gadaj zaraz!

— Obiecałem swej żonie, że z nią pójdę na spacer — przyznał się Leon wahającym głosem i udał, że nie widzi błagalnego wzroku Hortensji.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Stein — i to ty nazywasz zamówieniem? Pani dobrodziejka da ci urlop. Chodźże, chodź! Niech pani dobrodziejka nie pozwoli na to, aby on panią przedstawiał jako Ksantypę, a ze siebie robił pantofel!

Hortensja nic nie odpowiadała • mu i strwożona szukała wzrokiem Leona, chcąc odgadnąć co on zrobi i na czyją korzyść roztrzygnie.

— Nie bądźże filistrem — dogadywał mu Stein. — Jak dziś ze mną nie pójdziesz, staniesz się pośmiewiskiem całego naszego stowarzyszenia! Pani dobrodziejka będzie zadowolona, że się ciebie pozbędzie.

— Prawdą jest, mój skarbie — zaczął Leon niepewnym głosem, wystrzegając się przy tem, aby nie spotkał wzroku Hortensji — że w ostatnim czasie żyłem tylko dla swych książek i dla ciebie, że mała odmiana bardzoby mi się przydała.

Spodziewam się, że mi nie weźmiesz za złe, że ci dziś nie dotrzymam towarzystwa. Jutro przecież także dzień. Pójdziemy jutro do Prateru i gdzie tylko sama zechcesz.

Hortensja odpowiedziała tylko lekkim skinieniem głowy, lecz nie wyrzekła ani słowa, z obawy, by się nie rozpłakała.

Stein pożegnał ją hałaśliwje, a Leon ucałował serdecznie i poznać było, że czuł się trochę winnym wobec niej...

Ona skłoniła się, milcząc, bo zawsze jeszcze nie mogła przyjść do słowa.

Dopiero, gdy kroki oddalających się i głośny śmiech i mowa Steina ucichły, wybuchła zaraz rozpaczliwym płaczem.

Oddawała się swemu bólowi jak dziecko, nie wiedząc sama dokładnie, dlaczego i nie zdając sobie z tego sprawy.

Nie chodziło jej o spacer, który zaniechać musiała z winy Leona ani też o to, że musiała samotnie spędzić wieczór.

Miała tylko niejasne jakieś uczucie, że się coś między nią a mężem jej wcisnęło, co ich od siebie oddali, i to uczucie było właśnie powodem jej rozpaczy i gorzkich łez.

Zrobiła ona w ostatnich kilku tygodniach odkrycie, że Leon stał się dla niej oziębłejszym i że nie był już tak czułym, ani tak uważającym jak w pierwszych czasach.

Dotychczas jednak kładła wszystko na skarb jego męczących studiów.

Starała się więc przyciągnąć go do siebie zdwojoną czułością i uległością i w usiłowaniach tych widziała swe szczęście.

Dzisiejsze jednak postępowanie Leona przekonało ją, że jej towarzystwo nie

(Ciąg dalszy na stronie 73.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

STYCZEŃ

Szadź skrami błyszczącemi przywiera do drzew,
Chcąc rozkwity wiosenne wyczarować w sadzie...
Gdzieniegdzie liść się błąka, czerwony jak [krew...
Na rzece zima lśniącą taflę lodu kładzie.

Pod kobiercem ze śniegu drzemie cicho wieś,
Już minął czas banalny noworocznych życzeń...
Dokoła się panoszy zła i chłodna treść —
Smęt na dróg skrzyżowaniach rozpościera sty-[czeń.

M. Mszczycka.

HALLO! WOŁYŃ!

„Złocisty Promyczek". Musi być Pani nadzwyczaj uroczym stworzonkiem z tymi kasztanowymi niesfornymi lokami, zielonymi oczyma i dołeczkami w buzi. Może pokaże nam się Pani w „Krainie" na zdjęciu? Bardzo prosimy!

Chodzież znam narazie tylko z fotografii i opowiadań, ale wkrótce już zobaczę prawdopodobnie osobiście jej piękne jeziora i lasy i wówczas porównam wrażenia Pani z moimi.

Kończąc odpowiedź dziękuję Pani za kochany liścik, z którego część zamieszczam niżej:

„Moc pozdrowień zasyłam dla: „Lu", „Jemioły" „Smutnego Serduszka" i „Smutnej Sztubaczki".

Hallo! Wołynianki i Wołyniacy! Znam Waszą ziemię i chętnie chciałabym z Wami korespondować.

„Smutna Kazienko", napisz do mnie, a pocieszę Cię!

O liściki proszę również „Babinicza", „Opuszczonego Marynarza" i „Narcyza" (szalenie lubię to imię!)

LISTU NIE WYSŁAŁAM JESZCZE

„Bibliofil". Listu dotychczas nie wysłałam, gdyż nie posiadam adresu osoby, do której list ma być skierowany.

Za słowa uznania dziękuję Panu i odwzajemniam pozdrowienia.

CZEKAM CIERPLIWIE

„Gwiazdeczka", „Śnieżyczka" i Reniutka". — Z całego serca dziękuję Kochanej Trójce za życzenia. Czekam cierpliwie na dłuższy liścik i w imieniu Trójki pozdrawiam: „Blankę", „Kazię", „Milusię" i „Filusię", „Babinicza", „Mixer'a" i Waldego".

MUSI BYĆ WIĘKSZOŚĆ GŁOSÓW!!!

„Kochanie". „Nie podawaj, Zosiu, swej fotografii w „Krainie". Chcę mieć Cię w marzeniach i w fantazji coraz to inną i chcę ubierać Cię w najrozmaitsze przymioty fizyczne i duchowe, tak, jak będę czuła. Obecnie wiem tylko jedno, że bardzo Cię cenię, szanuję i kocham. Każde Twoje słowo cieszy mnie niezmiernie. Jesteś dla mnie uosobieniem prostoty i piękna duszy kobiecej..."

Dziękuję Ci, Najdroższa, za powyższe słowa — są piękne, boję się tylko, że zbyt pochlebne dla mnie. „Nie podawaj, Zosiu, swej fotografii" ...zgoda, ale musi być większość głosów po Twojej stronie, „Kochanie".

A teraz jeszcze kilka Twoich słów:

„Willy", czy jesteś w kraju? Napisz do mnie — bardzo proszę!

„Biała Uajali", zachwycam się Twojemi wierszykami — może i Ty napiszesz do mnie?

„Przedwiośnie" dziękuję za słowa, przeznaczone dla mnie — dlaczego mi współczujesz?

Dla „Małej Konwalijki" — specjalne pozdrowienia!

„Dzinkę" ściskam i proszę o mały wierszyk.

„Marka" pozdrawiam i proszę o liścik — jestem z okolic przez Pana ulubionych."

WIERSZOWANY APEL

„Nieszczęsna". Wierszowany apel — bardzo miły. Oddaję go bez wszelkich zastrzeżeń do druku i proszę Panią o dalsze listy:

„Te „Moje Powieści"
Są nadzwyczaj miłe,
Zewsząd młodzi piszą,
Ile w piórach siły.

Ja choć jestem z dala,
Chęci mam okrutne,
Wstąpić do „Krainy",
Choć mam serce smutne.

Tak chciałabym bardzo
Porozmawiać z Wami,
Długie listy pisać,
Dzielić się myślami.

Jestem taka sobie,
Przeciętna dziewczyna,
Blond włos, piwne oczy,
Zawsze śmiała mina.

Kilka lat czytuję
Kochane „Powieści",
„Krainę" uwielbiam,
Bo słów tyle mieści.

Będę pisać listy,
Jakie tylko chcecie,
Odpiszcie na apel —
Nie pożałujecie!

Za miłe przyjęcie
Serdecznie dziękuję,
No, i za te listy,
Których oczekuję!..."

ZA GÓRAMI, ZA LASAMI...

„Roześmiana Janetka". Gdzieś daleko za górami i lasami, żyje sobie maleńka dziewczynka — „Roześmiana Janetka". Co tydzień z błyszczącymi, jak gwiazdki, oczyma czyta „Krainę" i marzy o tym, aby otrzymać również list od nieznanych. Np. od „Tricotrina", „Avery'ego", „Samotnego Roma" lub innych miłych chłopców.

„Janettka" jest brunetką o tajemniczych, zielonych oczach i czarnych, orlich brewkach. Mieszka w zapadłej pomorskiej wiosce, gdzie świat zabity formalnie deskami. Serdeczny, ciekawy list będzie dla „Janettki" naprawdę niemałym szczęściem.

„MAŁA KONWALIJKA" PROTESTUJE...

„Mała Konwalijka". Pierwszą część listu Twego, „Konwalijko", traktującą o zamieszczeniu mej fotografii, podaję do ogólnej wiadomości:

„Chociaż bardzo kocham Panią, ale jestem przeciwną umieszczeniu Jej podobizny. Jesteś dla jednych osobą uduchowioną, dla drugich mądrą, dla innych wreszcie doświadczoną życiowo, dobrą i piękną. Niektórzy kochają Cię, jak matkę, inni, jak siostrę, a każdy kocha Cię za coś innego i każdy przedstawia Cię sobie na swój sposób.

Ludzie nieraz lubią żyć się z swojemi myślami, czy wyobrażeniami i nieprzyjemnie im, gdy doznają choć małego rozczarowania — mając to na względzie proszę Panią o zaniechanie umieszczenia swej fotografii. Tajemniczość Pani jest więcej pociągającą, dlatego też niech pozostanie Pani nadal tajemniczą i kwita! Ciekawa jestem kto mnie poprze?"

Za drugą część listu mocno Cię, „Konwalijko", całuję, a szczególnie za życzenia. Wzajemnie życzę Ci dużo szczęścia i zadowolenia z życia.

GŁOSY OPOZYCYJNE POMNAŻAJĄ SIĘ

„Dziewczę z Kujaw" popiera gorąco „Małą Konwalijkę", czytajmy, a przekonamy się:

„I ja przyłączam się do tych, co nie chcą widzieć fotografii p. Zofii. Pragnę, aby Pani pozostała nadal nieznaną, taką istotą, jakiej obraz wypielęgnowałam sobie w duszy. Myślę, że obóz opozycyjny zwycięży!

Chciałabym, aby na poruszony wyżej temat wypowiedzieli się wszyscy Sympatycy.

Korzystając z okazji załączam pozdrowienia dla „Szarej Dziewczynki" (dlaczego milczysz?) „Ali" i „Hilenki", „Maleńkiej Dzidzi", „Steni ze Żnina", „Fotoamatora" i „Marzyciela z nad Wisły".

TRZEBA WYTRWAĆ!

„Szara Dziewczynka". Wyobrażasz mnie sobie, Droga Dziewczynko, w ten sposób:

„Jest zapewnie Pani wysoką, czarnowłosą, piękną panią, jakby stworzoną do rozkazywania. Oczy Pani są czarne i płoną jak węgle, oraz patrzą dumnie w świat".

Portret, niestety, nie udał się, ale... to mało ważne! Piszesz, „Szara Dziewczynko", że zły los znowu zawisnął nad Tobą i znowu poszarzał Ci świat. Gdyby to było w mej mocy, wróciłabym Ci, Kochanie, stracone szczęście, i rozjaśniłabym Twoje życie, ale wobec wyroków losu jest bezsilny nawet najdzielniejszy człowiek. Nic Ci pomóc nie mogę, jedynie natchnąć Cię wiarą, że będzie znów lepiej, pogodniej, że przyszłość napewno przyniesie jakąś zmianę na lepsze. Pozostanie Ci więc, Dziewczynko moja, przetrwać wszystkie ciężkie chwile i czekać na wyzwolenie z nich.

Dopisek z Twego listu zamieszczam:

„Maleńka Dzidzi", pozdrawiam Cię i całuję serdecznie — może napiszesz do mnie?

„Bolku z Bydgoszczy", nie jestem tą osobą, o której myślałeś. Napisz!

„Erosie", chyba mylisz się? Nie znam żadnej Eli.

Pozdrawiam serdecznie: „Dziewczynkę z Kujaw", „Złotą Rybkę II.", „Blankę", „Ikę z nad Brdy", „Samotnego Tulipana" i „Niesympatycznego Eda".

LIST WYSŁAŁAM

„Pszczółka". List wysłałam. Za pozdrowienia jak najserdeczniej dziękuję i w pełni je odwzajemniam.

ZIMA

Jak okiem spojrzeć, — śnieg,
Jak duszą wysłyszeć — cisza...
Jak sercem wyczuć — biało...
Zginęły głębie jezior, — pomarły wstęgi
rzek.
Polesie zimą i śniegiem całe.
Spleśniałe lasy śpią bez oddechu...
Wygłodniałe wilki księżycową nocą wyją
po bezludziach,
Ołowiane chmury wiszą ciężko
Nad białymi sosnami, nad równiną błot...
Zaprzęgać konie w rozeschłe lipcem sanki:
— Dziś równie są nasze!
Z cuchnących błotem wsi w bezkresy łąk
lot!

Grają dzwonki,
Skrzypi biel,
Porywa dal.
Popuścić, zwolnić lejce — i śnieg płozami
ciąć
W bezkresne białe koleiny.
Czapa z barana czemże mróz?
Bieg sań...
Lepianki pod śniegiem.
Ku dalekim zapadłym miastom po ciepły
czaj
Zwinnych kuców biegiem —
W dali dzwonki umilkną...
Biało i głucho — Polesie śpi.

J. M. O.

KORESPONDENCJA

„Niezapominajka z Bydgoszczy" nawiąże chętnie korespondencję skimś z nad morza. Na każdy liścik przyrzeka dać odpowiedź.

Jak wskazuje pseudonim, „Niezapominajka" jest Bydgoszczanką, blondynką o szaro — zielonych oczach, muzykalną i wesołą.

WIERSZ NA ŻYCZENIE

Marylce K. i Janeczce K.
poświęca — AUTOR.

Byłem na balu
i te panie też —
więc im poświęcam
niniejszy wiersz — —

Obie — miłe są szalenie,
przy tym piękne, jak boginie —
tak, że myśląc o nich teraz —
dziwnie mylę się więc w
rymie...

— Niech mnie pan łaskawie
ładny poświęci wiersz — —
Druga również prosi:
— Zadedykuj mnie pan też.

I każda z nich chce
ode mnie wiersze,
i każda chciałaby
je dostać pierwsza.

Mam więc teraz trudne
nielada zadanie... —
nie wiem, czy wykonać
będę dzisiaj wstanie.

Cóż, napisać muszę,
na to niema rady —
by nie zarzucili
mi złośliwie wady.

Obecnie się głowię,
która chciała pierwsza...
lecz teraz nie pomnę
przeto — koniec... wiersza...

Jan Feliks Płóciennik.

CZY LIŚCIK ZAINTERESUJE?

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny". W liściku Pani znalazłam tyle serca, że pragnę usilnie odpłacić się Pani również sercem. Mam nadzieję, że uda mi się to...

List Pani niewątpliwie zainteresuje szerszy ogół Sympatyków, dlatego zamieszczam go niżej i równocześnie proszę Panią o nadesłanie dokładnego adresu.

„Do „Krainy" nie miałam odwagi wcześniej napisać, chociaż „Moje Powieści" znam już od dawna. Dopiero dziś zdecydowałam się powiększyć szeregi Sympatyków.

Jestem cudzoziemką, ale wychowałam się na polskiej ziemi i czuję, że mam już polskie serce. Na południe od polskiego kraju, leży najweselsze miasto świata — to moja kolebka. Oczy mam, jak lazur naszego nieba, włosy, jak słońce mego kraju i taką radość w duszy, jaką tchną melodyjne piosenki mej ziemi.

Jeśliby ktoś z przemiłych Sympatyczek lub Sympatyków zechciał nawiązać ze mną korespondencje, to obdarzę go wzamian siostrzaną przyjaźnią.

Hallo! „Duśko", czy wolno napisać? Już od dawna czuję do Pani sympatię.

„Stęsknionej Alince", „Niebieskiej Toruniance", „Carmen", „Symowi", „Ny - czarowi" i „Wikonowi" — ślę moc pozdrowień. Czy napisze ktoś do mnie?"

STARY LAS

Za jeziorem, tym srebrzystym,
Jakby zdala, trochę mglistym
Swym urokiem wabi nas,
Szepcze cicho i radośnie,
Jakby śpiewał nam o wiośnie,
Piękny, stary las!
A gdy wicher po nim chodzi,
Wierzołkami drzew zawodzi,
Sosen całych mas —
Skargi, spiski, jakieś knowa —
Tajemnicza jakaś mowa
Leci w cichy las.
Minie jesień, przyjdzie zima,
(Boć jej w locie nic nie wstrzyma).
Srogi przyjdzie czas.
Zmilknie ptaszek, zmilknie zwierzę,
Choć śnieg pięknie znów ubierze
Biedny, smutny las.
Ale po tym z tchnienia wiosny,
Znów szczęśliwy, znów radosny.
Wabić będzie nas.
Swym urokiem, ptasząt trelem,
Wabić będzie i weselem —
Piękny, stary las!

„Aloha".

NAJLEPIEJ...

„Słodka Gilda". Na listy moich Sympatyków odpowiadam tylko w „Krainie", dlatego nie uczyniłam zadość życzeniu Pani. Chyba nie pogniewała się Pani o to na mnie?

W wiadomej nam sprawie, najlepiej będzie, gdy zadecyduje Pani sama. Rada osób trzecich mogłaby być bowiem albo mało trafna, albo też zupełnie błędna.

Fotografia miła — dziękuję. Do reprodukcji jednak nie nadaje się, gdyż jest za mało wyraźna. Może nadeśle mi Pani inne zdjęcie?

Na zakończenie kilka słów Pani:

„P. Grzegorskiemu dziękuję serdecznie za ofiarowany mi swego czasu wierszyk. Czy nie zechciałby Pan nawiązać ze mną korespondencji?

„Duśko", dlaczego nie piszesz? Pytałaś mnie kiedyś, czy jestem Pomorzanką — otóż tak!

Milutkie pozdrowienia zasyłam: „Smętnej Dzidzi", „Elżuni z Torunia", „Królewnie z Bajki" i p. M. Choszczowi".

CZY LIST PRZYNIÓSŁ ZADOWOLENIE?

„Smutna Stenia z pod Grudziądza". Twój serdeczny liścik odebrałam i bardzo Ci za niego dziękuję. Piękną jest Twoja wiara, „Steniu", oby tak się wszystko złożyło, jak pragniesz — życzę szczerze.

W tych dniach wpłynął dla Ciebie liścik, więc go zaraz przekazałam. Czy przyniósł zadowolenie?

Łączę miłe pozdrowienia i: uśmiechnij się!

BYŁABYM NAPRAWDĘ ZADOWOLONA...

„Sportsmenka". Nastrojowy list Pani wzruszył mnie głęboko, jak zresztą zawsze wzruszają mnie piękne, nastrojowe myśli. Byłabym naprawdę zadowoloną, gdyby przesłała mi Pani częściej podobny liścik.

Wiersze oddałam do przejrzenia Wujkowi Januszowi, przypuszczam, że nie będzie tym razem zbyt srogi w ocenie, i nie krzyknie, jak to Pani dowcipnie napisała: „ni to pies, ni to wydra".

Za pozdrowienia, przeznaczone dla mnie — bardzo dziękuję i podaję do wiadomości zainteresowanych dopisek z listu Pani:

„Siostrzane uściski ślę: „Bajce", „Czarnej Dziewczynce" i „Czarnookiej z pod Mielżyna". „Gladiatora", „Avery'ego", „Samotnego Roma" i innych chłopców o szczerym i miłym usposobieniu, proszę, aby napisali do „mnie choć maleńki liścik. Odpowiedź murowana. Czekam z niecierpliwością!"

WYSŁAŁAM PO OTRZYMANIU ADRESU

„Wesoły Człowiek". Wkrótce po otrzymaniu adresu, listy Panu wysłałam. Oczekuję nowych wiadomości i bardzo dziękuję za wzruszające życzenia.

„HALLO! — LUDWIŚKO B. Z POZNANIA!"

„Bursztynowe Serduszko". Wyobrażam sobie, jak ucieszą się wszystkie Panie, które w poniższych słowach znajdą coś dla siebie:

„Hallo! Ludwiśko B. z Poznania! Przyjm moc całusków. Czy poznajesz mnie? — to ja Krzysia!

„Nie - biednej" ślę w podzięce uścisk dłoni. Dlaczego nie podałaś, Kochanie, swego nazwiska? Napisałabym bardzo chętnie.

„Maruszko", nie zapomnę o Tobie nigdy i w związku z tym przesyłam Ci przepiękne słowa modnego obecnie tanga:

Maruszko, nie zapomnę nigdy cudnych oczu
Twych,
Wiatr szumi, próżno chciałabyś od myśli
uciec złych.
Czardasza śpiewa ci węgierska puszcza,
A ja do wtóru naszą pieśń miłosną gram.
Maruszko, jestem sam,
na zawsze los rozłączył nas,
Maruszko, stare, wierne skrzypki
płaczą ze mną wraz,
Ach, pozwól słodkie usta twe całować,
Cygańskie serce znowu oddaj nam.

„Baśko z pod Koła", ślę Ci moc pozdrowień, prześlij mi chociaż słówko.

„Elżuni z Torunia" przekazuję: (z...... o .. t.. j... w T....) Napewno domyślasz się, Elżuńko, co te słowa znaczą?

„An - ka"! Dziękuję ślicznie za liścik. Jeśli masz ochotę napisz znowu. Życzę dużo powodzenia i przyjemności w karnawale".

DZIĘKUJĘ!

„Szara Fala". Ucieszyłam się Twoim liścikiem, Kochanie. Bardzo dziękuję za niego i proszę o częstszą pamięć. Wierszyki oddałam do oceny Wujkowi Januszowi. Pozdrawiam i całuję!

„CZUJĘ SIĘ OGROMNIE SAMOTNYM"...

„Ziemianin S." „Jestem od niedawna dopiero czytelnikiem „Moich Powieści" i już apeluję o listy. Żyję na pustkowiu i czuję się ogromnie samotnym. Zasyłam wszystkim Sympatykom „Krainy" ukłony, szczególnie dla „Ar". Czy nie zechciałaby Pani ze mną korespondować?"

MOŻE W INNEJ FORMIE?

„Taki — ciekawski". „Odpowiedź" nie wytrzymała mojej krytyki. Może ujmie ją Pan w innej formie? Albo też może wyśle Pan odpowiedź listownie?

Co do mego nazwiska, to widzę z listu, że nie jest Pan daleki od prawdy. Łączę dużo, dużo pozdrowień i czekam na nowe wiadomości.

NAUCZKA NA PRZYSZŁOŚĆ

„Przedwiośnie". To małe przeoczenie — ideałów na świecie nie ma" — kosztuje Cię, Kochanie, teraz tak dużo. Nauczka jednak stąd na przyszłość dla Ciebie taka, aby w życiu podchodzić do wszystkiego ostrożnie i nigdy nie ulegać złudom, prawda?

Przecudny uśmiech przez łzy — odebrałam. Mocno całuję!

Teczka Wujka Janusza

NIE SKORZYSTAM

P. E. K. Z nadesłanych rękopisów, niestety skorzystać nie mogę. Radzę Pani spróbować powodzenia na innym polu, gdyż praca literacka nie przyniesie Pani takich wyników, jakie przynieść powinna. Dziękuję jak najuprzejmiej za nadesłane życzenia i wzajemnie życzę Pani polepszenia przykrej doli.

(Czy rękopisy zwrócić?)

PROSZĘ O DALSZĄ WSPÓŁPRACĘ

P. E. T. Gniewkowo. Z nadesłanych wierszy wybrałem do druku — „Pożegnanie". Proszę bardzo o dalszą współpracę!

POŻEGNANIE

W jesienny, smutny czas deszczowych dni
Odeszłaś biedna, mała —
Nie stało nam już serca — nie — choć ty,
Tak bardzoś mnie kochała.

Maleńka, cóż powiedzieć miałem Ci
W ostatnim dniu rozstania,
Że serce starcze mam, że w oczach łzy
I smutek pożegnania?

Kazałem zdławić w sobie rozpacz, lęk
Uciszyć wspomnień falę,
Z ust bladych zetrzeć smutny bólu jęk,
I w życiu iść wytrwale.

Wszak wiosnę masz i w żyłach pożar krwi
I młodych warg tęsknotę,
Cóż ja zaś mam? — stargane tylko sny
I zimne słońce złote.

W jesienny, smutny czas deszczowych dni
Odeszłaś biedna mała —
Nie stało nam już serca — nie — choć ty,
Tak bardzoś mnie kochała.

„Ed".

BRAK WARTOŚCI LITERACKIEJ

„Jaskółka". Wiersze: „Wróć", „Zorze" i „Wieczorne sny", cechuje pewna myśl, ale poza tym, w utworach tych, brak zupełnie jakiejkolwiek innej wartości literackiej.

Za nadesłane życzenia — uprzejmie dziękuję. Łączę moc pozdrowień.

UTWORY CHAOTYCZNE

„Myśliciel". Utwory Pana są za słabe do druku. Brak w nich przede wszystkim harmonijnej budowy zdań — chaos, chaos i jeszcze raz chaos!

Ocena nieszczególna, ale szczera, dlatego mam nadzieję, że nie będzie Pan żywił do mnie żadnej urazy i odezwie się znowu kiedyś.

Raj kobiet



Fryzury karnawałowe w bieżącym roku, charakteryzują misternie loki, które tworzą na główkach nieraz korony. Oto czarująca fryzura — prawdziwy poemat loków — odpowiednia do balowej sukienki.

Czy Chinki powrócą do mody długich włosów?

Generalissimus chiński Czang-Kai-Szek zabronił ostatnio oficerom swojej armii zaślubiać kobiety, które odważyły się na obcięcie włosów. Niedość na tym. Kobietom chińskim grozi podobno lada chwila ogólny zakaz noszenia krótko obciętych i ondulowanych włosów.

O ile zapowiedź tego zakazu urzeczywistni się, to wkrótce — jak pisze jeden z dzienników chińskich — można będzie na ulicach miast chińskich oglądać z powrotem kobiety z wysokimi, lśniącymi od natłuszczonych włosów, fryzurami. Będzie to widok osobliwy dla tych wszystkich, którzy przyzwyczaili się już do nowoczesnych kobiet chińskich, mających krótkie loki na głowie i po europejsku rozcięte spódniczki. Cieszyć będą się natomiast obrońcy prastarej tradycji, którzy nie umieją wyobrażać sobie Chinki inaczej, jak w spodniach z wysoką fryzurą, zrobioną ze starannie naoliwionych włosów.

Niewątpliwie zapowiedziane inowacje spotkają się z dużym niezadowoleniem kobiet chińskich. W obecnych czasach bowiem, nawet starsze panie w Chinach, przyzwyczaiły się już z przyjemnością do loków i „trwałej ondulacji".

Radykalny dziennik północnych Chin, „Ta-Kong-Pao" przestrzega zwolenników nowych a zacofanych zarządzeń, zwracając im uwagę, że aby podobne zarządzenia mogły być istonie skuteczne, musiałoby się naprzód stworzyć specjalną ustawę i wydać odpowiednie przepisy policyjne. Musiałaby też powstać specjalna jakaś komisja cenzorów, którzy mieliby obowiązkowo mierzyć długość włosów kobiecych. I trzebaby — pisze ironicznie powyżej wspomniany dziennik — ustalić dokładnie na cale, kiedy to włos przestaje być długim, a zaczyna być uważany za krótki. Władze państwowe musiałyby też wytyczyć specjalną linię postępowania dla sądów i pouczyć je, w jakich wypadkach miałyby sądy wydawać wyroki na tego rodzaju przestępstwa i jakie miałyby wyznaczać za nie kary.

W praktyce tego rodzaju zarządzenia możnaby chyba przeprowadzić z największymi trudnościami. Rząd ściągnełby na siebie poza tym nieuniknioną nienawiść wszystkich kobiet, które poczułyby się uciśnione, pozbawione własnej woli. Musiałyby się też, o ile nowoczesna fryzura uznanaby została istotnie za niemoralną, zasugerować szerokim masom ludowym odruchowy sprzeciw przeciwko nowoczesnym pojęciom i naśladowaniu wzorów europejskich. Poza tym wszakże w Chinach mężczyźni i kobiety mają jednakowe prawa. Skoro zatem kazanoby ustawowo kobietom nosić z powrotem długie włosy, musianoby w konsekwencji także i mężczyznom nakazać noszenie tak, jak dawniej warkoczy...

Dziennik „Ta-Kong-Pao" kończy swoje sarkastyczne uwagi tym, że mężczyźni, którym fryzura taka nie odpowiada, mogą poprostu nie patrzeć w stronę kobiet, hojdujących tej modzie.

Świat i życie

W północnym raju zwierzęcym

Olbrzymia rozmaitość i niezliczone stada zwierzyny

Dziwnym jest, i nikt tego wytłumaczyć nie potrafi, z jakiego powodu co lata foki, odbywszy podróż wielu tysięcy km, z południa przebywają na wyspy Pribilowa, by tutaj zawrzeć małżeństwo i wychować młode, a następnie poprzez bezbrzeżne obszary Pacyfiku udać się znowu na południe. Z początkiem cieplejszej pory roku pojawiają się najpierw stare pełnoletnie byki i wybierają sobie siedzibę na skałach nadbrzeżnych. Nie odbywa się to bynajmniej zbyt spokojnie, gdyż walki o miejsce są zawzięte. Dla młodszych samców mało jest widoku pokonania dorosłych konkurentów, ważących do 5 ctr. Młodsze łączą się w kolonie kawalerskie, prowadząc na drugim końcu wyspy beztroskie życie, o ile pewnego pięknego poranku nie pojawi się agent Stanów Zjednoczonych, by w krótkim czasie zabrać kilka kompanii wesołych trzylatków. Gdy stare roki wywalczyły sobie odpowiednie miejsce pojawiają się pewnego dnia samice. Zaledwie wynurzą się z wody, witają je samce i eskortują do z trudem zdobytego obozu letniego. Gdy jednakże samiec nie uważa, w mgnieniu oka pozbędzie się swej towarzyszki na korzyść drugiego. Niebawem całe wybrzeże rozbrzmiewa rykiem walk. Nic więc dziwnego, że podziurawione skóry starych samców dla handlu nie przedstawiają żadnej wartości.

Wyspy Pribilowa są tymczasem tylko drobną cząstką olbrzymiego kraju Alaska, który, gdziekolwiek się przybędzie okazuje się prawdziwym olbrzymim zwierzyńcem. Stepy Afryki, z ich niezliczonymi stadami antylop i gazeli, są w stosunku do tego kraju prawie pustkowiem. Pod miejscowością Rapids, nad jedynym głównym traktem Alaski, pokuszono się w r. 1927 o policzenie stad karibu, które w swej wędrówce na południe, przekraczają w tym miejscu drogę. Liczbę ich ustalono na pół miliona egzemplarzy. Co dnia przesuwały się formalne lasy rogów, zdarzało się nawet, że trzeba było wstrzymać pociągi ze względu na ciągnące torem zwierzęta. Okoliczność ta daje jakie takie pojęcie, o bogactwie Alaski pod względem zwierząt, podobnych do jeleni.

W lasach grasuje łoś, czarny niedźwiedź, niebezpieczny grizły i niedźwiedź brunatny, największy drapieżnik ziemi. Doświadczeni myśliwi uważają niedźwiedzia brunatnego za najniebezpieczniejszego drapieżnika północy. Atakuje on natychmiast, nawet niezaczepiony, a każdej zimy słychać o traperach i Indianach, rozszarpanych przez niedźwiedzie brunatne.

Biały niedźwiedź, o którym każdy pierwszej chwili pomyśli, gdy padnie wyraz Alaska, żyje tylko na dalekim wybrzeżu północy. Właściwą jego ojczyzną są lody Morza Północnego.

Jelenie, sarny, owce górskie, a nawet odmiana antylopy, kozy górskie są zadomowione w Alasce podobnie, jak dzikie ptaki różnej barwy i wielkości, potężne ptaki drapieżne, orły i sokoły. Łososi jest pełno w niezliczonych strumykach, tak, iż wzajemnie podnoszą się z wody, gdy na jesieni ciągną z morza w górę rzek dla składania ikr.

Zwierz, podobny do hieny, zwany wolweryna, jest znienawidzony przez traperów, ponieważ wybiera sidła i atakuje wszystko, co mu wchodzi w drogę. Skórka wolweryny jest w wielkiej cenie, ale niezmiernie trudna do zdobycia. Tutaj traperzy zarabiają jeszcze po kilka tysięcy dolarów, ponieważ lista zwierząt skórkowych najrozmaitszej barwy jest tu ogromna.

Ze świata

50 lat pracy nad jednym kobiercem

Ludmiła Popowa, licząca dzisiaj 72 lata, żona zamożnego kupca bułgarskiego, ukończyła niedawno zadziwiającą pracę.

Poślubiwszy przed pół rokiem kupca Popowa i mająca, dzięki jego zamożności dużo wolnego czasu, postanowiła utkać własnemi siłami wielki kobierzec i w zamiarze tym wytrwała z niesłychaną cierpliwością.

Wykonany przez nią kobierzec mierzy 54 metry kwadrat. i przedstawia wielką wartość nietylko materialną, ale i artystyczną, gdyż wytrwała kobieta w ciągu długiej swej pracy wciąż zasięgała potrzebnych informacyj u wytwórców i kupców słynnych kobierców perskich, stosując się ściśle do otrzymywanych wskazówek.

W ten sposób powstał kobierzec istotnie niezwykły, ponieważ jednak dotychczas nie znalazł się jeszcze nikt, ktoby zechciał zapłacić sumę, żądaną za to dzieło, przeto jego autorkę, pani Popowa sporządziła testament, w którym postanawia, aby po jej śmierci, kobierzec przeszedł na własność bułgarskiego muzeum narodowego w Sofii.

Kobieta o najpiękniejszych włosach

W Ameryce urządzono konkurs na najpiękniejsze włosy.

W konkursie zwyciężyła panna Muriel Smith. Ma ona długie, jasne włosy, koloru dojrzałej pszenicy.

Miss Muriel chlubi się tem, że ma najdłuższe włosy w całej Ameryce. Czy tak istotnie jest, niewiadomo, ale warkocz jej liczy skromne stopięćdziesiąt centymetrów długości. Więc chyba powód kobiety o najpiękniejszych włosach ma miss Muriel wystarczająco wymowny.

Pies — amator owoców

W Czechosłowacji, w miejscowości Holni Jiretin, ma jeden z gospodarzy psa, który od 10 lat stał się wielkim amatorem owoców. Przed dziesięciu laty pies zachorował. Wówczas polecił lekarz weterynarii, jako lekarstwo, jabłka. Pies tak zasmakował sobie w owocach, że od tej pory, po wyzdrowieniu, musiał stale otrzymywać jabłko lub gruszkę, w przeciwnym bowiem razie nie daje nikomu zasnąć. Nie pomogło nawet bicie. Od tej pory dla psa musi być zawsze do dyspozycji jeden z owoców.

Angielskie dziwactwa

Anglosasi odznaczają się dziwacznemi pomysłami testamentowemi. Niejaka Eloise Bankes jeszcze za życia kazała sobie zbudować mauzoleum na cmentarzu Croydon, zaopatrzone w wentylację, aby tam przypadkiem nie zabrakło powietrza po jej śmierci. Ustawiła tam rodzaj łoża z poduszką i szafką z książkami, z których część stanowią powieści sensacyjne, jeden modlitewnik oraz stolik z biszkoptami, marmeladą i butelką napoju wyskokowego. Zainstalowała również telefon, który jest połączony z mieszkaniem jej i rodziną.

Czy nie jest to coś co przekracza zdrowy rozsądek?

Rozmaitości

CZY WIECIE, ŻE...

Propaganda mleczna w Londynie spowodowała otwarcie 950 nowych mleczarń, które cieszą się liczną klientelą.

—o—

Anglia ma... wielkie zmartwienie. Do tej pory nie zjawił się jeszcze nowy... taniec. Bywalcy dancingowi spodziewają się, że niebawem jakiś mistrz lansować będzie „taniec koronacyjny".

—o—

W Stambule ofiarowano do muzeum antropologicznego dziecko o trzech głowach. Żyło ono 48 godzin.

—o—

Kanadyjski szczur piżmowy może konkurować z łodzią podwodną. Pobiera z wody tlen i nurkuje całemi godzinami nawet pod lodem.

—o—

Henryk Ford zamierza wybudować w północnym stanie Michigan wzorową wieś. Każda rodzina otrzyma 35 morgów ziemi. Dla osady tej ofiaruje oprócz tego znany milioner elektrownię.

—o—

W Cambridge podała młoda, bo 19 lat licząca małżonka, Edyta Longer, podanie o rozwód, bo jej mąż jest namiętnym wędkarzem i jako przynęty użył 3-ch złotych rybek z jej akwarium.

—o—

Nadchodzą wieści, że wśród Eskimosów panuje taki głód, że zjadają nawet swe buty. Przyczyną tej klęski jest fakt, że w lecie połowy ryb były liche, a zwierzęta uciekły przed wilkami.

—o—

Stolica Japonii — Tokio — osiągnęła liczbę 5.500.000 mieszkańców. Większą liczbę ma tylko New - Jork i Londyn.

CHWILA ZASTANOWIENIA

R O Z S Y P A N K A
ułl. „Em - żet".

Ma — ha — rod — ni — ri — ka
gas — da — re — tys — ta — cha — tas
ni — e — kar — a — ty — ta — nem
y — go — ol — yes — ba — ja — ta
ga — pe — u — liz — nia — kusz — re —
ju — man — ny — ral — ka — zan —
wu — o — le — to — war — re — po —
in — be.

Z powyższych sylab utworzyć 19 wyrazów, o podanym niżej znaczeniu. Początkowe litery poszczególnych wyrazów dadzą aktualne hasło dnia.

1) Zawody kajakowe. 2) Góry w Eropie. 3) In. amulet. 4) Rzeka w Rosji. 5) Rośtina pokojowa. 6) Wyspa afrykańska. 7) Tak w jęz. angielskim. 8) Imię męskie, włoskie. 9) Imię żeńskie (zdrobn.) 10) Przyjaciel Mickiewicza. 11) Odrodzenie według teorii buddyzmu. 12) Miasto w Polsce. 13) Jedna z niem. prowincyj. 14) Miasto na Śląsku niem. 15) Wielki myśliciel, filozof. 16) Myśliwy, strzelec. 17) Samogłoska. 18) Tytuł powieści Żeromskiego. 19) Człowiek wrogi Polakom.

U z u p e ł n i a n k a
pod. M. T.

K	a				
	k	a			
		k	a		
			k	a	
				k	a

1) S uży do lokomocji.
2) Drzewo.
3) Ozdabia ściany.
4) Mieszkaniec wsc' odnlej części Eropy.
5) Imię żeńskie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 29 stycznia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 2 „Moich Powieści": K o n i k ó w k a: „Czemu kwiat jeden pod słońcem ginie, gdy drugim słońce się pieści i czemu w jednej godzinie, tyle szczęścia i bólu się mieści". S z a r a d a: Pałuki.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: G. Kasperska — Biertułowy, Amelia Zajączkówna — Pelplin, Aniela Kuncewiczówna — Wilno, Witalis Rąbecki — Brzózka, Adam Wawrzecki — Poznań, Zygmunt Próchniewicz — Poznań, Pelagia Romanowska — Łódź, Maria Królówna — Obra, Stanisław Terzyk — Sarny, „Eros".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Pelagii Romanowskiej z Łodzi i Zygmuntowi Próchniewiczowi z Poznania.

LECH TADEUSZ TRAFANKOWSKI

Powrót z niewoli

(Nowelka)

Tuż za lasem było widać strumień wody pokryty grubą skorupą lodu.

Jeszcze tylko przejść parę metrów, dojść do pierwszych domów, a będzie się na polskiej ziemi.

Maciej Dołęga wracał z niewoli bolszewickiej. Zsiniałe od mrozu ręce, ściskały kurczowo kij, na którym się wspierał. Wiatr niemiłosiernie zaczepiał o nędzną odzież, igrając z smutnym losem biedaka. Mróz wdzierał się zewsząd i przechodził dotkliwie zimnem przez całe ciało.

Dołęga myślał o żonie, którą zostawił w kraju ojczystym, o synku kochanym, który płacząc, żegnał go i mówił — że będzie się modlił o szybki i szczęśliwy powrót ojca. Czy żyje jeszcze? Wszak Zygmuś chciał być księdzem... Co robi teraz?

I wracając do swoich po szesnastu latach niewoli — myślał — jak przyjmą go teraz?...

— O! byle bym mógł ucałować żonę, uściskać syna — a potem... skonać na ojczystej ziemi — na tej — o którą tak krwawo walczyłem...

Nareszcie w mroku ujrzał słabe światełka przenikające z szpar niedomkniętych okiennic pobliskich domów.

Szedł, zataczając się jak pijany i wlokąc nogami ostatkiem sił.

Był uratowany...

Skostniałymi rękoma zastukał do pierwszej chaty.

Po chwili dały się słyszeć ciche kroki. Skrzypnęły drzwi i na Dołęgę buchnął zapach gotowanej strawy.

— Głodny jestem... pozwólcie się ogrzać...

Kobieta, która uchyliła drzwi, nagłym ruchem zamknęła je napowrót. Przelękła się.

Zresztą było się i czego wystraszyć. Twarz nie ogolona od miesięcy, z ubrania pozostały tylko strzępy, bielizna brudna, co razem czyniło straszny widok.

— O, gdyby mi dała choć łyżkę zupy — pomyślał, lecz wiedział, że już mu powtórnie nie otworzy.

I wolnym krokiem powlókł się dalej...

Zapukał do drzwi następnych.

— A czego to? — zapytał barczysty mężczyzna, otwierając drzwi.

— Głodny jestem... z niewoli bolszewickiej wracam. Zimno mi...

— Tu nie zajazd... Idźcie sobie...

— Choć chleba kawałek... żołnierz polski jestem... jeniec...

— Tu co chwila taki włóczęga zagląda i źle mu z oczu patrzy. Idź dalej, słyszysz?!

I wypchnięto go za próg tak silnie, że zatoczył się i upadł, kalecząc sobie dotkliwie nogę o pobliski kamień. Z otwartej rany zaczęła się sączyć krew.

Przeleżawszy chwilę — powstał i poszedł, a raczej powlókł się dalej. Żal i rozpacz targały jego duszę.

I w chwili największej rozpaczy oczy jego spoczęły na małym kościółku, przystani Wiary Chrystusowej, i skolei na opodal położonym domeczku plebanii. Westchnął do Boga i resztkami sił ruszył naprzód.

Doszedłszy do drzwi kościoła drżącą ręką przeżegnał się i nie mogąc już się dłużej utrzymać na nogach — upadł, a równocześnie kij wypadł mu z drżącej ręki.

W tej samej chwili dało się słyszeć głośne ujadanie zbudzonego psa.

Ktoś otworzył drzwi plebanii i wyszedł, zdążając ku kościołowi, w jednej ręce trzymając kij, a w drugiej latarkę. Doszedłszy do wrót kościoła, ujrzał leżącego człowieka bez ruchu z głową zwróconą do ziemi.

Pobiegł spiesznie z powrotem i wpadł jak burza do pokoju.

— Księżę proboszczu, przy kościele na ziemi człowiek jakiś leży!

Proboszcz spojrzał zdziwiony na mówiącego i bez słowa, odłożywszy brewiarz, podążył za nim.

Był od dwóch lat dopiero proboszczem i zdołał całkowicie zjednać sobie serca parafian wielkim poświęceniem.

Doszedłszy do nieznajomego, usiłował go podnieść z ziemi. W tej chwili wydobył się cichy szept z ust umierającego:

— Zostawcie mnie... czuję... że umieram..

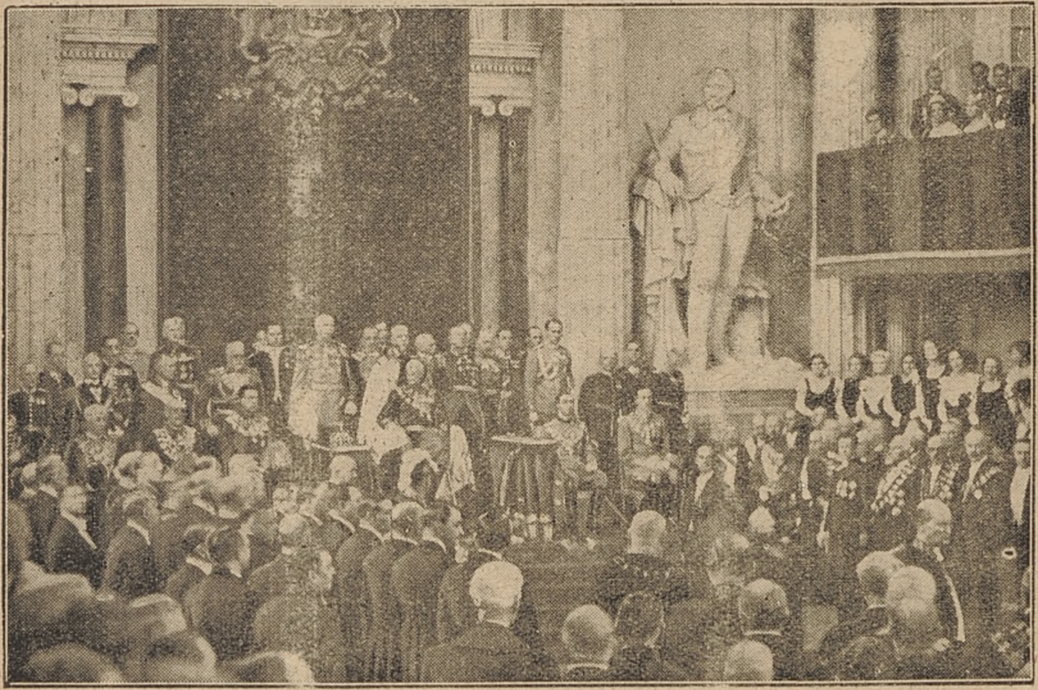
I łzy potoczyły się po zsiniałej od mrozu twarzy.

— Bogu dziękuję... że pozwolił umrzeć mi na ojczystej ziemi. Módlcie się za mnie i za tych... Jezu... i skonał.

— — — — — — — —

Nazajutrz odbył się skromny pogrzeb Macieja Dołęgi, bojownika o Wielką Polskę odepchniętego przez tych — za których walczył i umarł.

A ksiądz proboszcz Zygmunt Dołęga, nigdy się nie dowiedział, że pochował własnego ojca.



W Szwecji odbyło się uroczyste otwarcie parlamentu przez króla szwedzkiego Gustawa. W uroczystości tej wzięli udział członkowie domu królewskiego oraz szefowie poszczególnych broni.



W poszczególnych miastach Ameryki zorganizowano kursy dla służby domowej, w których mogą brać udział dziewczęta od 18 do 25 lat. Zdjęcie nasze przedstawia młodą dziewczynę sprzątającą swój pokój sypialny w pensjonacie, w Illinois.

wystarczało mu więcej i że przyjaciołom jego udało się tak łatwo rozweselić i odświeżyć go, a ona zdziałać tego nie mogła mimo najlepszych chęci!

Nie wspomniał nawet o danym jej przyrzeczeniu, i tak łatwo, tak bez skrupułów uległ kuszeniu tego nieokrzesańca!

Był on dotychczas dla niej ideałem, w którym żadnych ujemnych stron nie widziała. Po raz pierwszy zobaczyła go w innym świetle.

Spadł on w jej oczach z wysokiego piedestału. Spostrzegła, że i on ma swe słabostki i znikła aureola, którą dotychczas otaczała postać swego męża.

Było to największym rozczarowaniem jej życia, i im więcej nad tem myślała, tem goręcej spływały jej łzy.

Tak mijała godzina za godziną, a Leon nie wracał.

Zaświecone latarnie rzucały z dworu blade światło do ciemnego pokoju.

Hortensja siedziała tak w półcieniu z ręką na zbolałym sercu.

Przestała płakać, ale wilgotne jeszcze jej oczy patrzyły przed siebie osłupiałym wzrokiem.

Tak przesiedziała długie godziny, w których po raz pierwszy w życiu skosztowała, co to jest ból kochającego a pogardzonego serca.

— — — — — —

ROZDZIAŁ LVII

Kusiciel

Lekkie pukanie do drzwi wyrwało Hortensję z jej smutnej zadumy.

Pierwsza jej myśl była, że mąż wraca i zdziwiła się tylko dlaczego oznajmia przyjście swe w sposób tak niezwykły.

Otarła szybko łzy i pobiegła ku drzwiom, aby je otworzyć.

Oko jej przyzwyczajone do ciemności, poznało pana von Feldern, który powitał ją zdziwiony.

Asesor nie przestał bywać w domu młodej pary, mimo, iż spostrzegł, że ich stosunki materialne pogorszyły się.

Nie przywiązywał on wielkiej wagi do pozorów, sam był bardzo bogaty.

Nadto sympatja jego dla Hortensji była tak prawdziwą i głęboką, że nie mógł się wstrzymać, aby od czasu do czasu nie zaglądnąć do skromnego domostwa młodej pary.

Hortensja zaświeciła pospiesznie lampę i poprosiła asesora, by usiadł.

Feldern przyglądał się ze zdziwieniem i współczuciem bladej i stroskanej jej twarzyczce.

— Proszę mi wierzyć — przemówił wreszcie bardzo serdecznym tonem — że nie ciekawość, ani też natręctwo dyktuje mi to pytanie, które pani teraz zadam. Jest to z mej strony najserdeczniejsze, najszczersze współczucie i dlatego proszę panią powiedzieć mi, jako najlepszemu swemu przyjacielowi, co to się stało, że pani taka zmieniona i stroskana?

Patrzył na nią gorącym wzrokiem, ale Hortensja zamiast odpowiedzi, wybuchła płaczem.

— Czy mężowi coś się stało? — zapytał.

— Nie — Jest on chwała Bogu zdrów! odpowiedziała Hortensja.

— Czy pani miała jakie inne zmartwienie, albo złą nowinę? — dowiadywał się asesor dalej.

— O, ja jestem strasznie głupią — łkała Hortensja — a przy tem niewdzięcznicą i egoistą. Nie miałabym inaczej żadnego powodu, aby się dziś czuć tak nieszczęśliwą. Jest to bardzo niesłusznie przecież z mej strony.

Ocierając łzy, opowiadała asesorowi o wszystkiem, co się dziś stało, przy czym starała się, o ile możności, przedstawić rzecz tak, aby Leona żaden zarzut spotkać nie mógł.

Mimo to czoło asesora bardzo spoważniało.

Nie ganił nieobecnego, ale nie odzywał się też ani jednem słowem uniewinnienia.

Hortensja, której kochające serce pragnęło usłyszeć kilka słów uniewinienia dla Leona z ust Felderna, spojrzała z rozczarowaniem na asesora, ale ten wciąż milczał uporonie.

Gdyby w tej chwili czytać mogła z serca Felderna, z jakiem lekceważeniem i pogardą myślał o jej mężu, byłaby się od niego odwróciła z oburzeniem.

— Proszę nie płakać, kochana pani — pocieszał ją Feldern, nie wspominając jednak o Leonie ani słowem. — Strasznie mnie to boli, że widzę panią w takiem utrapieniu.

Przyszedłem dziś wreszcie tu w myśli, aby pani sprawić małą przyjemność. Mam bilety do opery. Grają dziś „Troubadoura", a obsadzenie jest wyborne. Chciałem prosić panią z mężem, abyście mi towarzyszyli najpierw do opery, a później na skromną kolacyjkę.

— Ach, co za szkoda, że męża niema w domu — zawołała Hortensja dziecinnie — byłabym tak chętnie poszła. Już się tak za dobrą muzyką stęskniłam i tak dawno nigdzie nie byłam.

— Co do dobrej muzyki, dziwię się bardzo, że się pani za nią stęskniła, bo stoi to przecież w paninej mocy mieć ją na zawołanie — odparł von Feldern schlebiając.

Ale Hortensja nie zrozumiała zupełnie komplementu, tyczącego się jej talentu muzykalnego.

— Co zaś do opery — ciągnął dalej asesor — nie pojmuję, dlaczegoby pani bez męża nawet, pod moją opieką, do opery pójść nie miała. Waldau bawi się ze swoimi przyjaciółmi, cóż więc naturalniejszego, że i pani trochę się chce zabawić, zamiast siedzieć samotnie przez cały wieczór.

— A czy mąż mój nie będzie się na mnie gniewać za to? — spytała Hortensja. — Pan przecież wie, że ja nie znam zwyczajów światowych i nie wiem, co wypada, a co nie wypada. Zdaję się więc zupełnie na pana. Jeśli pan myśli, że mi Leon tego za złe nie weźmie, to pójdę z panem chętnie do opery. Byłoby mi tak przykro, przesiedzieć samej przez cały wieczór.

W dziecinnej jej twarzy odbiły się te sprzeczne uczucia. — Z jednej strony chciała korzystać ze sposobności zabawienia się, z drugiej zaś strony bała się nagany męża.

Instynktownie, nie zdając sobie z tego sprawy, do sumienia i honoru przemówiła asesorowi tak, że tenże zawstydził się w duchu, a to u niego rzadko kiedy się zdarzało.

— Moglibyśmy poprosić gospodyni pani, aby nam towarzyszyła — dodał asesor po namyśle. — Pani Neumeister jest dobrą i uczciwą kobietą, pod której opieką każda dama mogłaby się światu pokazać. Tym sposobem zachowane będą wszelkie pozory tak, że nawet największe dewotki nie będą nam mogły niczego zarzucić, a my spędzimy wspólnie bardzo przyjemnie wieczór w operze.

Hortensji zupełnie to było obojętnie co świat o niej powie. Zależało jej tylko na mężu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

4) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

Pogrążony w głuchej zadumie Herbig siedział przy biurku. Teraz Maria rychło zapewne wyjdzie za Lebbecka, by nie żyć tak samotnie. Może nawet nie przeczekają roku żałoby. W takich warunkach nie zważa się tak ściśle na formy. W sali rysunkowej opróżni się jej miejsce, a ona zniknie z jego życia, jakgdyby nigdy nie odgrywała w niem roli. Dzięki Bogu, że jej przynajmniej nie wyznał swej miłości.

Wróciwszy do domu na obiad, prosił siostrę, by zamówiła wieniec na trumnę pani Rottman. Powiedział to tak chłodno i spokojnie, że Bettina była przekonana, iż chwilowa słabostka do Marii całkiem mu wywietrzała z głowy. Z wdzięczności dla losu zamówiła w kwiaciarni wspaniały wieniec od brata, a drugi od siebie.

Maria ani na chwilę nie odstępowała od ukochanych zwłok. Śmierć matki odczuła tem boleśniej, że nie posiadała żadnych bliższych krewnych i została teraz całkiem sama na świecie. Podczas ciężkich długich godzin czuwania przy zmarłej, myśl jej bezwiednie pobiegła do Herbiga. Co wpłynęło na tak nagłą zmianę postępowania? Dlaczego cofnął jej dawną życzliwość?

W każdym razie dłużej u niego pozostać nie może. Nie potrzebując się liczyć z matką, weźmie pierwsze lepsze nadarzające się jej zajęcie, by tylko położyć koniec ostatecznej swej udręce. Przy najbliższej sposobności musi wypowiedzieć miejsce w fabryce.

Nazajutrz po pogrzebie matki, znów siedziała przy swoim stole w sali rysunkowej. Na widok bladej dziewczyny w ciężkiej żałobie Herbig drgnął, wzruszony jej wyglądem. Postąpił ku niej i tonem uprzejmym lecz chłodnym wyraził jej swe współczucie. Podziękowała równie spokojnie i chłodno i wróciła do swego zajęcia. Z trudem opanowała wzburzenie na dźwięk jego głosu, tak zupełnie pozbawionego dawnej serdeczności.

— Uciec, uciec stąd co prędzej — mówiła sobie w duchu, wijąc się od tłumionego bólu. Musi jednak czekać cały tydzień od ustanowionego terminu wypowiedzenia. Lebbeck znów wyjechał, co Herbig niewiadomo dlaczego odczuł jako ulgę, jakby go zwolniono od ciążącego na nim przymusu.

W dniu, kiedy wolno jej było wypowiedzieć posadę, Maria zapukała do gabinetu szefa. Na jej widok zerwał się szybko i wzrok jego wyrażał zdumienie. Wysiłkiem opanowując wzruszenie, nie mógł zauważyć jej niepokoju. Postąpił ku niej i tonem urzędowym zapytał:

— Czem mogę pani służyć? Rzucił na nią szybkie spojrzenie i dostrzegł, że w twarzy jej niema ani kropli krwi i że zaledwie trzyma się na nogach. W rycerskim odruchu podsunął jej krzesło.

— Ten straszny cios wyczerpał też panią fizycznie — rzekł dawnym swym serdecznym tonem. Proszę usiąść.

Skinęła lekko głową i osunęła się na krzesło, gdyż kolana się pod nią uginały. Nie wyobrażała sobie, jak ciężkiem będzie to rozstanie. Nie podnosząc nań oczu, rzekła cicho:

— Przychodzę prosić pana o zwolnienie.

Zagryzł usta i w pierwszej chwili chciał odpowiedzieć krótko i chłodno. Ale widok jej bladej, kurczowo ściągniętej twarzy przejął go współczuciem. Z uczuciem dojmującego bólu zdawał sobie sprawę, jak bardzo mu jest drogą.

— Żąda pani zwolnienia? A czy mogę spytać o powód?

— Ja... ja... chcę... odejść stąd.

Gorycz wzięła w nim górę nad współczuciem.

— To znaczy, że pani wychodzi zamąż? Nieprawdaż?

Zaskoczona tym pytaniem, spojrzała w jego twarz, na której malowało się wzburzenie i tonem najwyższego zdumienia odrzekła:

— Ja zamąż? Skąd?

Zaśmiał się szydersko.

— Och, proszę się nie bawić ze mną w ciuciubabkę. Wiem przecież, że pani już oddawna zaręczona z panem Lebbeckiem.

Gorący rumieniec oblał jej twarz. Szybko zerwała się z krzesła.

— Pan się myli. Nie ja, ale moja przyjaciółka jest zaręczona z panem Lebbeckiem.

Zaparło mu oddech. Z pobladłą twarzą wpatrywał się w nią płonącymi oczyma.

— Pani nie jest zaręczona? A na tej zabawie w parku powiedziała pani mojej siostrze...

— Nic podobnego nie mówiłam — rzekła stanowczo. — Powiedziałam tylko siostrze pana, że Lebbecka znam oddawna i że on zwrócił mi uwagę na wskazującą posadę w firmie Herbig.

Ściągnął brwi i przesłonił oczy ręką. W okamgnieniu zrozumiał, że Bettina świadomie go okłamała, pragnąc go odsunąć od Marii. W tej chwili jednak mniej go obchodziło to odkrycie. Znów przed nim zamajaczyła wizja szczęścia, czarowna, pociągająca.

Wpił się oczyma w twarz dziewczyny i głosem zdławionym od wzruszenia spytał:

— Więc czemu pani żąda zwolnienia? Proszę o szczerą odpowiedź.

Ze słów jego wywnioskowała, że nie domyśla się jej tajemnej miłości i to jej pozwoliło odzyskać równowagę. Podniosła głowę i rzekła spokojnie:

— Proszę o zwolnienie, ponieważ widzę, że nie jest pan ze mnie zadowolony i cofnął już dawną swą życzliwość.

Postąpił ku niej i ujął obydwie jej ręce.

— Tylko dlatego? — spytał tak radośnie, że mimowoli podniosła nań oczy.

— Tylko dlatego.

— Alboż pani tak wiele zależy na mojej życzliwości? — spytał miękko, nie puszczając jej rąk. Czuł, że ręce jej drżą, widział, że twarz dziewczyny naprzemian blednie i czerwienieje i w sercu jego zrodziło się błogie przeczucie. Maria walczyła z obłędną trwogą nie zdradzenia się ze swą tajemnicą. W głosie jego był czar oszałamiający, obezwładniający. Ostatkiem sił wyrwała mu ręce i niby trwożne dziecko, nie umiejące sobie poradzić, rzuciła:

— Ja muszę odejść.

Szybko zmierzała ku drzwiom, lecz zanim je zdołała otworzyć, stał już przy niej i ujął ją za ramiona.

— Mario... czy naprawdę chcesz odejść? Zapóźno. Wiem już, że kochasz mnie.

Drżała jak we febrze.

— Nie! nie! — szepnęła rozpaczliwie.

— Nie? Naprawdę nie? Ale ja kocham ciebie, a w ostatnich czasach unikałem cię, bo nie chciałem byś wiedziała, jaką rozpaczą przejęła mnie wiadomość, że jesteś zaręczona. A teraz powiedz jeszcze raz, że mnie nie kochasz, inaczej nie uwierzę.

Zwiesiła głowę, obiema dłońmi zakryła twarz, a z piersi jej wydobyło się łkanie. Zbyt raptownie męka jej przeobraziła się w szczęście bezmierne.

Objął ją ramieniem i delikatnie gładził jej włosy.

— A widzisz, że nie możesz zaprzeczyć, ty moja najdroższa, jedyna. I przestań płakać. Czyż to jest nieszczęście, że zostaniesz moją żoną, moją na wieki ukochaną?

Uśmiechnęła się przez łzy i szepnęła:

— Ten sen, nazbyt piękny, by się mógł urzeczywistnić.

— Mój kochany głuptasku! — zamknął jej usta pocałunkiem, a ona z przymkniętymi oczyma poddała się jego pieszczotom.

Wreszcie wysunęła się z jego objęć i gładząc zmierzwione włosy, rzekła.

— Muszę wrócić, bo co sobie pomyślą, że tak długo nie wracam.

— Tyle tylko masz mi do powiedzenia? — spytał, śmiejąc się radośnie.

Oczy jej promieniejące miłością, dały mu odpowiedź zadawalającą, gdyż ponownie porwał ją w objęcia i rzekł:

— Zostaniesz zwolniona za karę, że mnie tak długo dręczyłaś.

— Przecież ja pana nie dręczyłam.

— Pana? Co to ma znaczyć? Do kogo się to odnosi? — żartował.

— Do... ciebie. Niełatwo tykać swojego szefa — zaśmiała się filuternie.

Znów ją przygarnął do siebie i całował do utraty tchu.

— Tak — rzekł na koniec, uwalniając ją z uścisku. — A teraz siadaj obok biurka, ja usiądę przy biurku i pomówimy rozsądnie.

Wpatrując się w nią rozkochanymi oczyma, rzekł:

— Mario Rottman, siedzisz oto na ławie oskarżonych. Skradłaś mi serce.

— Mamy przecież mówić rozsądnie — rzekła zażenowana.

— Westchnął głęboko.

— Masz rację, kochanie. Otóż pragnę, byś jak najprędzej została moją żoną.

— Zapominasz, że jestem w żałobie.

— Nie, najdroższa. Wcale o tem nie zapominam. Ale powiedz: czy matka twoja nie wolałaby, byś znalazła się pod opieką kochającego męża, zamiast żyć samotnie?

— Och, gdyby mama dożyła była tego szczęścia! — szepnęła, zalewając się łzami.

— Widzisz sama, że ten wzgląd jest zbyteczny, a na ludzkie gadanie nigdy nie zwracam uwagi.

— Ale twoja siostra? Boję się, że będzie czuła żal do mnie...

Cień przemknął po jego twarzy na wspomnienie Bettiny, która swem kłamstwem omal nie pozbawiła go szczęścia.

— Nie obawiaj się jedyna. Z siostrą ja się już rozmówię. Jeśli zechce, może w dalszym ciągu mieszkać z nami, jeśli nie, może sobie urządzić życie podług własnej chęci. Ale teraz chodzi mi, o coś ważniejszego. Jako moja narzeczona nie możesz zamieszkać u mnie, a nie chcę też, byś pozostała sama. Czy nie masz krewnych, u których mogłabyś spędzić parę tygodni, dzielących nas od ślubu?

— Nie mam ani krewnych, ani bliższych znajomych, poza rodziną narzeczonej Lebbecka. W takim razie muszę stąd wyjechać.

— Biada! — jęknął — ale istotnie nie widzę innej rady.

Podniosła nań oczy promieniejące miłością i szczęściem.

— Ukochany, wszak i ja stokroć wolałabym się nie rozstawać z tobą — szepnęła tkliwie.

— Moja słodka, ukochana dzieweczka. A kto będzie w przyszłości wykonywał moje szkice?

— Myślę, że jako twoja żona będę mogła być także twoją współpracowniczką.

— Tak też będzie, jedyna.

Jeszcze raz ucałował jej usta i ręce. Jak we śnie wchodziła na piętro i na pozór spokojnie podjęła pracę przerwaną.

* *
*

W godzinę później Herbig wszedł do sali rysunkowej. Zdawało mu się, że musi się przekonać, że ona tam jeszcze jest i że oczy jej inaczej nań będą spoglądać niż zwykle.

Nie zatrzymując się przy innych rysownikach, podszedł odrazu do jej stołu.

— Panno Rottman, chcę pani powierzyć do wykonania pewien pomysł — rzekł tak głośno, że wszyscy mogli słyszeć. — Proszę o papier i ołówek.

Z pochyloną głową, by ukryć zdradliwy rumieniec, podsunęła mu żądane przybory. Przysunął sobie krzesło i napisał: „Nie mogłem wytrzymać dłużej bez Ciebie. Teraz będę miał co chwila nowe pomysły, ale jeśli się będziesz tak czerwienić, to rychło nasza tajemnica wyjdzie na jaw. Och, jakże bym Cię chciał uścisnąć.“

— Jak się pani podoba ten szkic? — spytał głośno, podsuwając jej arkusz.

Przebiegła oczyma liścik i siląc się na spokój, odrzekła:

— Prześliczny, wspaniały. Ja jednak zmieniłabym jeden szczegół. Ot tak.

I szybko napisała: Ukochany, chciałabym ci ucałować ręce.

— A ja wolę, byś mnie pocałowała w usta — odpisał.

Zabawa ta trwała jeszcze chwilę. Podsuwając sobie te pierwsze liściki miłosne, głośno wypowiadali uwagi dotyczące rzekomego rysunku.

Tak minęły pierwsze chwile narzeczeństwa.

Mimo całego szczęścia, Herbig doznawał przykrego uczucia na myśl o postępku Bettiny. I postanowił ją ukarać. Tego samego wieczora, siedząc z nią przy kolacji, rzekł nagle:

— Panna Rottman wypowiedziała mi dzisiaj. Tracę doskonałą siłę, którą nie łatwo się da zastąpić.

Uważnie obserwował siostrę i zauważył w jej oczach błysk radości.

— Och, to przykre — rzekła z udanym współczuciem. — Co wpłynęło tak nagle na tę jej decyzję? — pytała, tłumiąc radość tajemną.

— Wychodzi zamąż — odparł spokojnie.

— Zamąż! — wykrzyknęła Bettina.

— Cóż cię tak dziwi? Wszak mi sama opowiedziałaś, że jest zaręczona z Lebbeckiem. Czyż nie?

— No tak. Więc wychodzi za Lebbecka?

— Wiem o tem nie od niej, lecz od ciebie — odparł rozdrażnionym głosem. — To pewna, że wychodzi zamąż i to w najbliższym czasie.

Bettina opanowała chwilowy niepokój, oddając się niepodzielnie uczuciu triumfu. A wyjazd Marii, która już w dwa dni później udała się do rodziny swej przyjaciółki, rozproszył do reszty jej obawy. Teraz była już pewna, że brat wytrwa w stanie kawalerskim.

Rozstanie narzeczonych było dla obojga równie bolesne.

— Ja nie wytrzymam bez ciebie przez całe długie trzy miesiące! — biadał Herbig.

— Och, dzieli nas tylko jedna godzina jazdy koleją — żartowała. — Więc jeśli ci przyjdzie ochota...

— Och, ochota będzie mi przychodzić częściej, niż mi będzie możliwe zaspokoić ją. Patrz — oto nasze ogłoszenia zaręczynowe. Roześlę je jutro po twoim wyjeździe.

— Ale siostrę zawiadomisz chyba wcześniej? Ja tak się boję, że nie będę przez nią lubiana...

— Mnie to pozostaw, najdroższa i bądź spokojna. Kto nie ze mną, ten przeciwko mnie... Bettina musi to zrozumieć.

* *
*

Następnego dnia Herbig wyszedł z fabryki wcześniej niż zwykle. Chciał być obecny, gdy listonosz wręczy Bettinie wysłane do niej zawiadomienie o zaręczynach, a Bernarda pragnął o tem zawiadomić ustnie.

Jakoż zastał go w altanie, pochylonego nad książkami.

— Już jesteś, wuju? Wcześniej jakoś niż zwykle!

— Tak, umyślnie wyszedłem wcześniej, by ci coś zakomunikować.

— Och, mówisz to tak uroczyście. Powiedz, czy coś przyjemnego?

— Coś niezmiernie przyjemnego, ale tym razem przede wszystkiem dla mnie — zaśmiał się Herbig. — Krótko i węzłowato: zaręczyłem się, mój chłopcze.

Bernard zerwał się na równe nogi. Na jego świeżej twarzy malowała się żywa radość i zdumienie.

— No, nie żartuj. Przecież to nie pierwszy kwietnia.

— Wcale nie żartuję, mój drogi.

— Więc naprawdę? Mów szybko: z kim?

— Z panną Rottman.

— Hurra! Jakże się cieszę! Jak strasznie się cieszę, że jesteś szczęśliwy. Ach, teraz rozumiem, dlaczego w ostatnich czasach byłeś taki zmieniony. Nie śmiałem cię pytać, ale myślałem, że poniosłeś jakieś straty materialne. Tymczasem... Och, wuju, jakże się cieszę! Czy mama już wie o tych zaręczynach?

W tej chwili wszedł do ogrodu listonosz, a Herbig ciepłym uściskiem ręki pożegnał szybko Bernarda i skierował się ku domowi. Chciał patrzeć na Bettinę, gdy będzie czytać zawiadomienie o zaręczynach. To było jego zemstą.

Siedziała na werandzie, zajęta jakąś robótką, gdy listonosz wręczył jej dużą kopertę. Szybko przebiegła oczyma kartę zaręczynową, przesunęła ręką po czole, jakby zbierała myśli rozpierzchłe, a drugą ręką chwyciła się poręczy krzesła. Twarz jej zwykle taka świeża i rumiana była teraz szara, jakby z niej uciekło życie. Nieprzytomnemi oczyma spojrzała na Fryca.

— Nie, to nieprawda! — wymamrotała. — Co to jest?

— Zawiadomienie o moich zaręczynach, Bettino.

— Nie... nie... to jakiś kiepski dowcip — szepnęła zbielałemi wargami.

— Podobne sprawy nie nadają się do żartów — odrzekł.

Opadła bezsilnie na krzesło, a w ciemnych jej oczach zamigotały złe ogniki.

— Prawdziwie... ładnie się ze mną obszedłeś! — wykrzyknęła szydersko. — Sądziłam, że siostra zasługiwała chyba na inne zawiadomienie.

— Czy istotnie na to zasłużyłaś, Bettino? Może tem chytrem kłamstwem, które wymyśliłaś, by mnie odsunąć od Marii? Powiedz, jakiem prawem chciałaś mnie skazać na życie samotne? Jakiem prawem zagradzasz mi drogę do szczęścia, które spodziewam się znaleźć w życiu z Marią? Czy obawiasz się, że ożenek przeszkodzi mi zajmować się nadal Bernardem i starać się o niego, zanim stanie o własnych siłach?

Zaśkała głośno i krzyknęła szydersko:

— Tak, stanie o własnych siłach, by przez całe życie borykać się z niedostatkiem. Już ja to znam.

— Zapominasz, że ja również nie posiadałem majątku, obejmując fabryczkę po ojcu. A Bernard napewno da sobie radę w życiu. Bettino, nie dajże się unosić zaślepieniu, płynącemu z nadmiernej miłości macierzyńskiej. Użycz mnie także trochę szczęścia. Moje małżeństwo nie zmieni nic w naszym dotychczasowym stosunku. Pozostaniecie nadal z nami, a wiem, że Maria będzie szczęśliwa, jeśli zechcesz jak dotąd zajmować się domem, gdyż ona chce mi w dalszym ciągu pomagać w fabryce. No, głowę do góry, siostro. Nie masz żadnego powodu do zgryzoty. Niewiadomo zresztą, czy Bernard nie będzie jednak moim spadkobiercą. Wszak małżeństwo nasze może pozostać bezdzietnem.

Ostatnie słowa rzucił jedynie dla pocieszenia Bettiny, ale właśnie słowa te wryły się w jej pamięć i rzuciły w jej duszę posiew fatalny. Zrodziła się w niej dzika nienawiść do Marii, która zniweczyła jej żywione nadzieje, oparte na ambitnych planach co do przyszłości syna. Zbyt jednak była mądra, by nie rozumieć, że narazie trzeba się pogodzić z faktem dokonanym. Odetchnęła głęboko i podeszła do brata.

— Wybacz — rzekła, wyciągając doń rękę. — Byłam szalona... Widziałam już siebie i Bernarda bez środków do życia...

— Ależ Bettino, powinnaś mnie chyba znać o tyle, by wiedzieć, że coś takiego jest wykluczone — rzekł łagodnie, całkiem już pojednany. — Ale teraz pragnąłbym pomówić z tobą o czem innem. Chodzi o Bernarda, który niema wcale ochoty wstąpić do fabryki.

— Co? Już ci opowiedział o tych swoich niedorzecznych mrzonkach?

— Mylisz się. To wcale nie mrzonki, tylko szczere zamiłowanie do pracy w innej dziedzinie, niż ty mu chcesz narzucić. Ja całkowicie pochwalam jego zamiar zostania inżynierem i dałem mu już zezwolenie.

— Sądzę, że ja również mam tu coś do powiedzenia!

— To się rozumie — odrzekł z uśmiechem. — I jestem też pewny, że nie zwichniesz chłopcu życia, narzucając mu zawód niezgodny z jego zdolnościami. Poza tem, proszę cię, by wszystko pozostało po dawnemu. Zatrzymaj swoje dotychczasowe mieszkanie i zajęcia. Dla Marii urządzi się na pierwszym piętrze pracownię, gdzie będzie mogła rysować. Ale to omówimy później. Teraz zawołam Bernarda, który z niepokojem oczekuje twojej decyzji.

Odprowadziła go spojrzeniem, w którem gorzała nienawiść.

— Odpłacę ja jej za to upokorzenie! — mruknęła do siebie.

Przebiegł ją dreszcz — dreszcz grozy przed poszeptem ciemnych mocy, biorących ją w posiadanie.

* *
*

Następne tygodnie upłynęły na pozór spokojnie. Bettina pracowała jak zwykle, robiła przygotowania na przyjęcie młodej pani domu, ale w duszy jej bezustannie nurtował głuchy gniew i żądza odwetu. Wobec brata siliła się na spokój i swobodę, ale w rzeczywistości dokonała się w niej całkowita zmiana. Straciła apetyt i noce spędzała bezsennie, co odbiło się na jej wyglądzie.

Synowi okazywała teraz melancholijną troskliwość, uważając go za pasierba losu. Łzy napływały jej do oczu, ile razy nań spojrzała.

Tak nadszedł dzień ślubu. Herbig z siostrą i Bernardem wyjechał do miasteczka, gdzie Maria bawiła u przyjaciółki i tu odbył się cichy ślub.

Witając Bettinę Maria w gorącym porywie ucałowała jej rękę i rzekła serdecznie:

— Proszę mi użyczyć trochę sympatii i pozwolić, by mi wolno było kochać panią.

Bettina byłaby ją najchętniej odepchnęła w odruchu dzikiej nienawiści, lecz ze względu na brata opanowała się i zimnemi ustami musnęła czoło Marii, która wcale się nie domyślała, co się dzieje w sercu bratowej. Była oszołomiona swym szczęściem i wszystko widziała w promiennej aureoli.

Zaraz po ślubie nowożeńcy wyjechali do Włoch, a po powrocie zastali wszystko w największym porządku. Bettina pamiętała o wszystkiem. Dom udekorowany był festonami zieleni, pokoje pełne kwiatów, stół nakryty wspaniale, uczta, przy której nie zbrakło ulubionych potraw Herbiga.

Maria nie mogła znaleźć dość słów podzięki, a Fryc serdecznie uściskał siostrę.

Ciąg dalszy nastąpi.

16)

Niebezpieczny Gość

Powieść

Niedawno widziałem go w towarzystwie wysmukłej ładnej blondynki, a teraz znowu flirtuje zawzięcie z wcale kształtną damą. Tylko, że wygląda przy niej, jak patyk obok kłody... He... he... he! — śmiał się, zadowolony z własnego dowcipu.

Kazimierz, który w tym właśnie momencie zbliżył się z Ireną, dosłyszał ostatnie zdanie Tulczyńskiego. Raczej wyczuł, niż zrozumiał jego intencję. Błyskawicznym spojrzeniem objął w ironicznym uśmiechu wykrzywione wargi literata, a potem z kolei bardzo bladą twarzyczkę i desperacko zagryzione usta panny Krańskiej.

— Zabawia pan pannę Jankę wcale dowcipną konwersacją, panie li-te-ra-cie! — syknął z przykiskiem.

Tulczyński zdawał się nie zauważyć ironii w głosie młodego dziennikarza.

— Pan sądzi? — rzekł, poprawiając swe duże, ciemne okulary. — Wyraziłem tylko zdziwienie z powodu nowego dowodu zbytniej sentymentalności pańskiego przyjaciela. Bo chciej-że pan tylko spojrzeć na pana Donieckiego — ruchem głowy wskazał kierunek.

Kazimierz rzucił mu wściekłe spojrzenie. Był zły na literata za jego ironiczne uwagi o Donieckim, wypowiadane w obecności panny Krańskiej i chciał już zareagować odpowiednim doborem słów. Hamując się jednak, objął krytycznym wzrokiem Zdzisława i towarzyszącą mu damę.

Kto to może być?

W czasie kiedy zastanawiał się nad tym pytaniem, towarzyszka Zdzisława obróciła się właśnie i popatrzyła w ich kierunku. Zobaczywszy towarzystwo z willi „Aurory", przystanęła na moment, potem z żywością, na jaką pozwalała jej tusza, ruszyła im naprzeciw, pociągając za sobą Zdzisława.

Janka teraz dopiero poznała korpulentną damę i odetchnęła z widoczną ulgą. Roześmiała się trochę nerwowo jednak.

Dziennikarz spojrzał jej w oczy z niemem zapytaniem.

— To pani radczyni Wiercińska z G. — objaśniła go Janka.

Zbliżyli się.

— Vous ici, mademoiselle? — zawołała pani radczyni, zwracając się do Janki. — Jakież miłe spotkanie! Dawno nie widziałam pani na plaży, panno Janeczko... C'est votre chère cousine, n'est pas? Et ces monsieurs?... — zapytała, śmiałem spojrzeniem obrzucając Kazimierza i Tulczyńskiego.

Ubrana była w obcisły, seledynowy kostium sportowy, nadto uwydatniający jej kształty, o mocno wyzywającym dekolcie, odsłaniającym pełny biust.

Janka przedstawiła jej Tulczyńskiego i młodego dziennikarza.

Pani radczyni przysunęła się do młodzieńców.

— Znam panów trochę — rzekła, przechylając kokieteryjnie głowę. — A pana widziałam już kilka razy — trąciła dziennikarza nagiem, opalonym na brąz, ramieniem.

— Mnie? — zdziwił się Kazimierz. — Ciekawym gdzie i kiedy?

— Przed paroma dniami na ławce nad jeziorem. Był pan w towarzystwie blondynki... no, comment s appele-t-elle?... panny Niewiarowiczówny.

Tulczyński wybuchnął głośnym śmiechem.

— Chcesz wiedzieć dużo — zapytaj kobiety, a dowiesz się więcej — zaśmiał się Kazimierz, spoglądając ukradkiem na Irenę. — Ale czy szanowna pani widziała mnie tam naprawdę?

Pani radczyni pogroziła mu pulchnym paluszkiem.

— Pan chciałby zaprzeczyć, ale to się panu nie uda, wykrętny chłopczyku — rzekła, spoglądając nań z pod zmrużonych powiek. — Znamy was dobrze, teraźniejszych mężczyzn... Mais, royez-vous monsieur! Co się stało pańskiemu przyjacielowi? Jest dzisiaj małomówny i dziwnie przygnębiony... Czy państwo uwierzą — zwróciła się do Ireny, Janki i Tulczyńskiego — że kiedyście tu przyszli, to pan Doniecki chciał uciekać z plaży. Wymawiał się jakiemiś obowiązkami...

Wszystkie spojrzenia skierowały się teraz na Zdzisława.

Młodzieniec stał dotąd niezdecydowany i, pod wpływem słów pani radczyni, mocno zmieszany. Oczy jego spotkały się na chwilę z oczyma Janki i dłużej spoczęły na jej bladej twarzyczce. Wtedy podszedł szybko do dziewczyny i w milczeniu przycisnął jej rękę do swych ust.

Irena i Kazimierz zamienili z sobą znaczące spojrzenia.

Zaś pani radczyni, nachylając się do Tulczyńskiego, rzekła półgłosem:

— Wie pan, że oni się kochają?...

Literat drgnął silnie, że aż okulary przechyliły się, odsłaniając czarne oczy, które w tej chwili błysnęły jakby złowrogo.

— Kto?...

— Panna Krańska i pan Doniecki. Będzie z nich dobrana para.

— Tak pani sądzi?

— Czy sądzę? Jakim tonem wypowiedział to pan, panie literacie... Nie tylko sądzę, ale wierzę w to, jak sama w siebie. On przecież za nią świata nie widzi, a i ona... — pani radczyni wykonała ręką znaczący gest.

Tulczyński roześmiał się cichym, lecz jakimś dziwnie ostrym tonem, że zwrócił na siebie uwagę młodego dziennikarza.

Kazimierz zwrócił się wolno w stronę literata. Oczy jego przybrały stalowy wygląd, koło ust zarysowały się ostre linie...

— — — — — — — — —

Cztery godziny spędzili na plaży, zabawiając się żywą, dowcipną rozmową, w której prym wiodła oczywiście pani radczyni.

Przez ten czas Janka i Zdzisław zamienili z sobą parę słówek zaledwie. Bo cóż mieli sobie powiedzieć? Że dusze ich rwią się ku sobie w takt, przepełnionych słodkiem niepokojem i rzewną tęsknotą, rozkołysanych serc?... Tego powiedzieć nie mogli, nie wyjaśniwszy wpierw kilka szczegółów, dręczących ich umysły. A tego znowu nie mogli uczynić w obecności drugich. To też, kiedy pani radczyni — raczywszy wreszcie sobie przypomnieć, że gdzieś na letnisku pozostawiła swego szanownego męża, — zaprzestała kokietować młodego dziennikarza, oraz literata i pożegnała całe towarzystwo, Zdzisław oświadczył, że wrócą z Janką pieszo do willi „Aurory".

Irena, Kazimierz, wraz z Tulczyńskim mieli przybyć tam przez jezioro. Ale kiedy Irena wsiadała do łodzi, spostrzegła, że literata nie było już na plaży. Nawet nie wiedziała kiedy się oddalił. Spojrzała pytająco na Kazimierza.

Młody dziennikarz wskoczył do łodzi, a odbiwszy od brzegu, skierował na nią śmiejące się, rozkochane oczy...

Rozdział X.

ZNOWU SZCZĘŚLIWI

Tymczasem Janka i Zdzisław opuszczali plażę, odprowadzani ciekawymi spojrzeniami letników. Od chwili rozstania z Ireną, Tulczyńskim i młodym dziennikarzem, nie zamienili z sobą jeszcze ni jednego słowa. Postępowali w milczeniu, za to słysząc doskonale głośne, przyspieszone bicia swych serc rozkołysanych.

Dopiero, gdy letnisko pozostało już poza nimi, Zdzisław ujął Jankę pod rękę i pociągnął ją lekko na wąską, biegnącą przez dębowy lasek, drożynkę, mającą zaprowadzić ich wprost do willi „Aurory". Skierował na narzeczoną swe piwne, błyszczące w niemym zachwycie oczy. Czuł, że nadszedł najodpowiedniejszy moment, w którym powinny paść między nimi długo tłumione słowa wyjaśnienia, ale milczał w dalszym ciągu. Nie mógł znaleźć właściwego doboru słów, ażeby dostatecznie przedstawić bezmiar uczuć, jakie rozsadzały mu piersi.

Janka, obserwując go z poza frendzli długich rzęsów, instynktownie wyczuwała jakie myśli nurtują w tej chwili narzeczonego i owładnęło ją rozrzewnienie, oraz radosny niepokój, który serce przyprawia o szybsze bicie...

Rozumiała bowiem, że zbliża się upragniona chwila, kiedy nareszcie wyjaśni się „nieporozumienie". Będzie mogła wykazać Zdzisławowi jaką jej krzywdę wyrządził swojemi podejrzeniami. Powie mu, że swem, niczem nieuzasadnionym postępowaniem był powodem jej zmartwień. Powie mu... — Nie — zmieniła nagle postanowienie, napotykając błagalny wzrok młodzieńca. — Nie będę znów szczęśliwą. Powinnam się cieszyć, że pozostał, że powrócił do mnie. Bo mogłam go stracić na zawsze! Zresztą on sam już zrozumiał, że wyrządził mi krzywdę, bo chce prosić mnie o przebaczenie. A jeśli dotąd milczy, to tylko dlatego, że w pobliżu kręcą się jeszcze, zajęte flirtem, pary letników. Ale teraz...

Doszli właśnie do lasku. Usiedli tam na dużym wapiennym głazie. Za nimi las szumiał cicho swoją odwieczną, monotonną melodię, a w dali przed nimi lustrzana tafla jeziora błyszczała w promieniach chylącego się już ku zachodowi słońca.

Tu już nie było widać przechadzających się letników. Byli więc sami tylko wśród zieleni na skraju lasku. Tu też mogli rozmówić się bez obawy, że znajdzie się ktoś, ktoby mógł ich podsłuchać.

Zdzisław popatrzył w słodkie źrenice dziewczyny, poczem osunął się przed nią na kolano.

— Przebacz Jano... przebacz najdroższa — zaczął mówić cichym i drżącym ze wzruszenia głosem, podnosząc do ust rękę narzeczonej. — Wiem, jak bardzo zawiniłem. Ty cierpiałaś z mego powodu. O, byłem szalony, przypisując tobie przewinienia, których ty popełnić nie mogłaś. Wyrządziłem tobie ogromną krzywdę, najmilsza. Bo, przyznam się szczerze, kiedy ujrzałem jak pocałował cię obcy mężczyzna, to byłem przekonany, że musiał on mieć do tego prawo... że ty mnie oszukałaś haniebnie... Ile wycierpiałem z tego powodu, jakie piekło wrzało w mem sercu, to wie jedynie sam Bóg. Ach, co ja wtedy myślałem o tobie, Jano... Pogardzałem tobą, miotałem na ciebie obelgi! Tak obelgi! Przebacz ukochana, ale ja wtedy byłem przekonany o twej winie. Uwierzyłem pozorom. Sądziłem nawet, że musiałaś oszukiwać mnie już dawno. Bo ten, który cię pocałował, był mocno podobny do... waszego lokaja, a jednak... zdaje się, że to nie był Franciszek Leśniczak.

— Możesz więc wyobrazić sobie, co się ze mną wówczas działo — ciągnął dalej Zdzisław. — „Jeśli ta jest taka — powtarzałem rozgoryczony — to nie ma już uczciwych kobiet na świecie!" — Ale mimo wszystko nie mogłem zdobyć się na zerwanie z tobą i na odjazd... Na drugi dzień spotkałem cię w ogrodzie. Odwróciłem się od ciebie ze wzgardą. Lecz przez moment patrzyłem w twoje śliczne, a wówczas tak smutne, oczy i od tej chwili w mej głowie powstały pewne wątpliwości, co do twej winy. — „Takie oczy może mieć tylko kobieta niewinna" — pomyślałem natychmiast. Ale unikałem cię w dalszym ciągu. Bowiem nie mogłem zrozumieć tego, czego byłem naocznym świadkiem. W żaden sposób nie mogłem zrozumieć, aby obcy mężczyzna mógł ośmielić się pocałować kobietę, z którą go nic nie łączyło, ani nie łączy. Dopiero później mój przyjaciel przekonał mnie o twej niewinności. Kazimierz dowiódł mi jasno, że zarzuty moje są absurdalne, bezpodstawne. On też dowiódł, że padłem ofiarą podłej intrygi i, że swymi podejrzeniami krzywdzę najszlachetniejszą kobietę na świecie... O, Jano najdroższa! Przebacz mi, że byłem powodem twego zmartwienia... że śmiałem choć przez chwilę zwątpić w twój honor kobiecy — błagał Zdzisław, pokrywając gorącymi pocałunkami rękę narzeczonej. — Ja cię tak kocham! Nie oddałbym cię nikomu. Powiedz, czy mi przebaczasz?...

Panna Krańska nie odpowiedziała. Nie poruszyła się nawet. Oczy miała spuszczone ku ziemi, a tylko pierś jej falowała szybko, zdradzając wewnętrzne wzruszenie.

— Milczysz? Nie chcesz mi wcale odpowiedzieć? — mówił smutno Zdzisław. — Więc gniewasz się na mnie, Janko?

Podniosła powieki i oczy jej objęły klęczącego młodzieńca. Przez ułamek sekundy twarzyczka jej rozjaśniła się, jakby uśmiechem zadowolenia, ale zaraz brwi jej zmarszczyły się surowo.

— Proszę powstać przede wszystkiem — rozkazała krótko.

Zdzisław zbladł. Ton głosu, jakim panna Krańska kazała mu powstać, był tak zimny, że młodzieńca przeszedł dreszcz nagłej obawy. Więc Janka jest naprawdę obrażona... Może nawet nie zechce mu przebaczyć?...

— Nie! — wyrzekł z uporem, obejmując dziewczynę namiętnym spojrzeniem. — Nie powstanę prędzej, aż nie usłyszę, że mi przebaczysz... O, najdroższa! Czy mnie już nie kochasz? Powiedz, że mi przebaczasz... że kochasz mnie tak jak przedtem, a będę najszczęśliwszym z ludzi.

— Niech się pan nie łudzi napróżno — odparła zimno Janka, prostując swą wysmukłą postać. — Powinieneś pan wiedzieć, że nie można bezkarnie obrażać i upokarzać kobiety. A pan obraziłeś mnie śmiertelnie swemi podejrzeniami i upokorzyłeś mnie w oczach mego ojca. Wiem, że nie uczyniłeś tego rozmyślnie, dlatego też przebaczam panu. Ale kochać?... Sercu nie można rozkazywać, a zdaje się, że uczucie, jakie wczoraj jeszcze żywiłam dla pana, wygasło już w mem sercu na zawsze. Dlatego też nie mogę odpowiedzieć, że... kocham pana jeszcze, ale to, że wszystko już między nami skończone. Sądzę, że mnie pan zrozumiał. I radzę panu zupełnie szczerze: wymaż z pamięci to, co było między nami. Zapomnij o mnie, jak ja będę starała się zapomnieć o tobie. A teraz — żegnam pana...

Dobrze wymierzony cios pomiędzy oczy nie zrobiłby na Zdzisławie większego wrażenia, jak powyższe słowa. W pierwszej chwili był zupełnie oszołomiony. A kiedy ucichły odgłosy, szybko oddalających się, dziewczęcych kroków, czuł, że ostatnia kropla krwi spłynęła mu z twarzy. Bowiem teraz dopiero począł sobie zdawać sprawę z ogromu bolesnego i tak niespodziewanego ciosu, jaki go spotkał.

Usiłował skupić rozszalałe myśli... Czy to była ta sama słodka Janeczka, która przemawiała do niego w ten sposób... I to on był wszystkiemu winien. On musiał ze spuszczoną głową wysłuchać słusznych niestety wymówek narzeczonej. Narzeczonej?... Och, wielki Boże! Przecież ona powiedziała, że między nami wszystko skończone. Nie kocha go już... Odeszła... kazała mu zapomnieć o niej... On zapomnieć!...

Zerwał się gwałtownie na nogi. Oczy płonęły mu gorączkowo, na całej twarzy malowało się wielkie cierpienie. Szalona rozpacz ściskała jego serce.

— Zapomnieć? — zawołał głucho. — Nigdy!... nigdy!

Odwrócił się, chcąc pobiec za oddalającą się dziewczyną i... przystanął osłupiały. Przed nim stała Janka. Uśmiechnięta, z filuternymi błyskami w rozjaśnionych oczętach.

Nie odeszła! Więc ona tylko...?

— Jano... — wybełkotał z szaloną nadzieją w głosie.

Ona położyła mu na ramionach ręce i zbliżając swą twarzyczkę do ust jego, rzekła z namiętną tkliwością:

— Zdzichu, kocham cię!

Wtedy objął ją, przycisnął silnie do piersi i... przywarł gorącymi ustami do jej ust.

— O, najdroższa! — rzekł, przyszedłszy z radosnego szału do siebie. — Czy to prawda... czy to tylko prawda... czy rzeczywiście kochasz mnie jeszcze? Tak... tak... dlaczegoż pytam... Wiem, że mnie kochasz... Więc przebaczyłaś mi wszystko... nie gniewasz się na mnie, Jano?

— Czemu wspominać to, co już minęło bezpowrotnie — odparła łagodnie, wspierając główkę na ramieniu młodzieńca. — Kocham cię i byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdybyś odjechał, Zdzichu...

— Najmilsza! Gdybyś wiedziała, jak niewypowiedzianie cię kocham. Będziesz moją... tylko moją! Teraz już nas nikt nie rozłączy. Będziesz moją najukochańszą żoną i...

Nie dokończył zdania. Bowiem w tej chwili zafalowały gwałtownie rosnące w pobliżu, gęste krzewy i nagle ciszę rozdarł straszny, szatański śmiech.

— Ha... ha... ha!... — rechotał głos jakiś z zarośli. — Ona nigdy nie będzie twoją, szalony przybłędo! Ha!... ha!... ha!...

Szyderczy śmiech rozszedł się szerokim echem po wszystkich zakątkach lasku.

Zdzisław wzdrygnął się. Poznał głos człowieka, który już raz podobnym śmiechem przerwał im chwilę niebiańskiej rozkoszy. A śmiech ten brzmiał tak szyderczo, że wstrząsnął serca zakochanej pary nagłym dreszczem ogromnego lęku. Młody dziennikarz wyczuwał bowiem podświadomie, że ze strony tego osobnika, który widocznie szpieguje ich ciągle i zjawia się zawsze w chwili najmniej spodziewanej, aby spłoszyć ich swym szatańskim rechotem, grozi niebezpieczeństwo brutalnego zniszczenia ich dotychczasowego szczęścia... ich gorącej miłości.

Tylko kto był tym naprawdę niebezpiecznym dla nich człowiekiem?...

Zdzisław ocknął się z odrętwienia, w jakie wpadł na skutek tak niespodziewanego tutaj, wyczynu tajemniczego osobnika. Trzymając w objęciach drżącą narzeczoną, odwrócił szybko głowę. Nie dojrzał jednak nikogo. Zdawało się mu tylko, że pomiędzy ciemnemi pniami drzew mignęła jakaś postać, oddalająca się szybko w stronę wioski. W lasku znowu zapanowała cisza...

Spojrzał na Jankę. Twarzyczka narzeczonej była niezwykle blada, a ręka jej, spoczywająca w jego dłoni, drżała jak listek osiki. Chcąc ukochanej dodać odwagi, uścisnął silniej tę drobną, delikatną rączkę.

Dziewczyna podniosła na niego swe duże oczy, w których w tej chwili malowało się przerażenie.

— Co tobie, Jano? — pytał zaniepokojony Zdzisław, widząc ją tak zmienioną.

— To był... on — rzekła, szczękając zębami. — Ten sam, co wówczas... w ogrodzie...

— Boisz się?

— Nie. Kiedy ty jesteś przy mnie Zdzichu, nie obawiam się niczego. Ale ten straszny śmiech działa na mnie w szczególny sposób. Mam dziwne przeczucie, że spotka mnie coś złego ze strony tego osobnika.

— O, nie Jano — zaprzeczył Zdzisław z błyskiem w oczach. — Nie obawiaj się nikogo. Nie jestem okrutnikiem, ale biada będzie temu, ktoby śmiał tobie wyrządzić choćby najmniejszą krzywdę!

Przygarnął ją do siebie, jakby chcąc zapewnić, że przy nim nie może spotkać ją nic złego.

Dziewczyna jednak delikatnie odsunęła go od siebie i oswobodziła się z jego objęć.

— Wracajmy — rzekła.

— Dobrze, najdroższa. Lecz zanim stąd wyjdziemy, chcę raz jeszcze słyszeć słowa zapewnienia o twej dla mnie miłości.

— O tak. Kocham cię Zdzich — powiedziała, patrząc nań tkliwymi oczyma. — Kocham cię tak bardzo, że nie chciałabym żyć, gdybym nie mogła należeć do ciebie...

— Ukochana moja — objął ramieniem wiotką postać uroczego dziewczęcia i gorącemi ustami dotknął jej białego czoła.

Przytuleni do siebie, wracali do willi, marząc o czekającym ich szczęściu.

Zdawaćby się mogło, że zapomnieli już o tym, który prześladował ich swym szkaradnym śmiechem. Ale tak nie było. Wesołość i spokój Zdzisława były tylko powierzchowne. W głębi jego serca tail się niepokój. On nie lekceważył sobie tajemniczego wroga. Uporczywa myśl: kto może być jego wrogiem — nie opuszczała go przez całą drogę.

O tem, że to był ten sam osobnik, który napisał oszczercze anonimy, a krył się pod pseudonimem „Gość" — wiedział dobrze. Ale to było dlań za mało. On musi dowiedzieć się, jakie jest prawdziwe nazwisko tego człowieka, a wtedy...

Wykonał ręką znaczący gest.

Obok willi „Aurory" czekali już na nich ci, którzy wcześniej, bo krótszą drogą przez jezioro, wrócili z plaży: panna Załowska i młody dziennikarz. Irena była mocno zarumieniona i jakby nieco zmieszana, zaś, w oczach Kazimierza widniało zadowolenie. Patrząc na nich, nie trudno było się domyślić, o czem rozmawiali przed chwilą.

Zamienili z sobą kilka słów i niebawem panienki pożegnały Kazimierza Szperackiego. Musiały wrócić do zapewne czekającego na nie, pana Krańskiego.

Kiedy dziewczyny zniknęły już za drzwiami wchodowemi willi „Aurory", dziennikarz zwrócił do pogrążonego w myślach, przyjaciela:

— No, teraz gadaj, Zdzich.

— Co takiego mianowicie?...

— Oczywiście nie o tem, że doszedłeś z panną Krańską do porozumienia, bo to już dawno wyczytałem z twej rozradowanej twarzy... Powiedz, czy nie spotkała was w drodze żadna niespodzianka... niemiła przygoda?

— Ty już wiesz? — zdumiał się Zdzisław. — Skąd?... Jakim sposobem?...

— Wiesz, że ja zawsze dużo wiem. Ale co się wam przytrafiło? Mów!

— Nasz tajemniczy „Gość".. .— zaczął Zdzisław i opowiedział o tem, co się wydarzyło w lasku, przyczym wyraził żal, że nie mógł ujrzeć sprawcy szyderczego śmiechu, gdyż ten uciekł.

Kazimierz słuchał uważnie, gryząc nerwowo usta.

— Szczególne — rzekł wreszcie. — Bo wiesz? Parę minut przed wami tą samą drogą powrócił lokaj Franciszek Leśniczak.

Zdzisławowi dziko błysnęły oczy. Utkwił w twarzy przyjaciela dziwne jakieś spojrzenie.

Snać młody dziennikarz dobrze musiał rozumieć znaczenie tego spojrzenia, bo wzruszył ramionami i odparł tylko:

— Nic nie wiem. Pilnuj jednak dobrze panny Krańskiej.

Pożegnali się.

Kazimierz oddalił się szybko, jakby chciał uniknąć dalszych pytań przyjaciela, a Zdzisław zawrócił do willi z wzrastającym niepokojem w sercu.

Ciąg dalszy nastąpi.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 24 stycznia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia 10.30 „Słynni soliści" (płyty) 12.15 Koncert Zrzeszenia Orkiestr i Chórów Robotniczych Transmisja z Sali Domu Katolickiego „Roma" 13.00 Koncert rozrywkowy z Berlina 14.30 Kwintet Stefana Rachonia 15.00 Fragment koncertu organizowanego przez Tow. Opieki nad Ociemniałymi 15.30 „Audycja dla wsi" 16.35 Sielanka dźwiękowa „Walczykki panny Ludwiki" 17.00 Koncert popularny z Krakowa 19.00 „Pietyzm i niedyskrecja w literaturze" — szkic literacki Boy - Żeleńskiego 19.20 Muzyka taneczna 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Recital wiolonczelowy Ewala Stegmana 22.00 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 25 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert Orkiestry Mandolinistów 15.15 Koncert rozrywkowy 15.55 „Wszystkiego po trochu" 16.30 Cyganie w muzyce — koncert 17.00 „Polak inicjatorem socjologii roślin" — odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Maxa Rostala 18.50 „Przywłaszczenie" — felieton prawno-społeczny 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Mała Orkiestra R.P. 21.00 „Wieczór Fraszek" 21.30 Józef Haas: „Dzień i noc" — suita na sopran i orkiestrę kameralną 22.10 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 26 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Wirtuozi fortepianu i skrzypiec (płyty) 15.15 Mała Orkiestra Polskiego Radia 16.30 Fragmenty zespołowe znanych oper (płyty) 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść 17.15 „Grają dzwony Kopenhagi" — audycja muzyczna 17.50 „Grzeczność" — „Nasi maturzyści" 19.20 Koncert rozrywkowy 20.00 Koncert symfoniczny z Domu Katolickiego „Roma" 22.30 „Poeta mitów i ekstazy" (Tadeusz Mieciński) — szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna

Środa, dnia 27 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 „Legendy i ballady" (płyty) 12.50 „Tłuszcze w gospodarstwie domowym" — pogadanka 15.15 Trzy soprany — koncert rozrywkowy (płyty) 16.10 „Zagadki historyczne" — audycja dla dzieci 16.30 Orkiestra Policji Państw. 17.00 „Dywizja polska na Syberii" odczyt 17.15 Koncert solistów 18.50 „Rzemiennym dyszlem po gospodarstwach Wielkopolski" — pogadanka 19.20 Muzyka ludowa 20.00 Muzyka (płyty) 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Alfreda Kitchina 21.30 „Pieśń o Rolandzie" 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 28 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 „Perły koloratury" (płyty) 15.15 Koncert zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej 16.20 „Hokus-pokus dominikus" — audycja dla dzieci 16.35 „Dwaj skrzypkowie" (płyty) 17.00 „Jak cudze dziecko stało się szczęściem samotnych ludzi" — odczyt 17.15 Muzyka salonowa 17.50 „Książka i wiedza" 19.00 Utwory Beethovena — fortepian 19.30 Muzyka taneczna 20.30 „Sosna polska wraca z Indii" — felieton 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich" 22.05 Mała Orkiestra Polskiego Radia 22.35 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 29 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka operowa (płyty) 15.15 Miniatury muzyczne 16.30 Koncert Orkiestry Polskiego Radia 17.00 „Co widziałem w północnej Islandii" — felieton 17.50 „Encyklopedia mówiona" 19.00 „Konik polny i mrówki" — bajka 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 „Za ścianą z papieru" — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 30 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 „Słynne orkiestry dęte" (płyty) 15.15 „Melodie z różnych stron świata" koncert rozrywkowy 16.15 „Leoncavallo-Mascagni" — koncert 17.00 Duety w formie instrumentalnej i wokalnej 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.45 Wielka wieczornica taneczna.

Introligator i typografista

potrzebni. Zgłoszenia z warunkami i odpisami świadectw do

ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH ALFREDA KSYCKIEGO w ŻNINIE.

HUMOR

Ciężkie czasy

Mam znajomego kamienicznika. Lubię z nim rozmawiać. Wesoły pasażer. Wczoraj naprzykład spotykam go na podwórzu. Podchodzę więc i pytam:

— No, jak tam, panie gospodarzu?...

— Daj pan spokój... — odpowiada. — Kiepsko...

— Dlaczego?... Czy lokatorzy nie płacą?...

— Płacą, ale jak?... Ci z góry płacą z dołu, a ci z dołu — wcale nie płacą...

Przed pięćdziesięciu laty

— Powiedzcie, chłopcy, czego nie było pięćdziesiąt lat temu na świecie?

— Samolotów.

— Radia.

— Samochodów.

— Łodzi podwodnych.

— Mnie nie było, mojego brata nie było moich kolegów...

Słowność

— Ile masz lat?

— Osiemnaście.

— To samo mówiłaś dwa lata temu,

— Bo ja nie zmieniam zdania z dnia na dzień...

Zabawa dobroczynna

„Proszę pani... przed godziną kupiłem od pani całusa... czy pani nie chciałaby go odebrać i dać mi wzamian szklankę piwa?"

Cyganeria

— Jak się masz! Jak ci się powodzi?

— Jak w raju: nie mam się w co przyodziać i lada dzień mogę być wyrzucony!

W szkole...

W pierwszej klasie szkoły powszechnej pyta nauczycielka małego Jasia:

— Umiesz czytać i pisać?

A na to Jasio:

— Dobre sobie! Gdybym to wszystko umiał, nie przyszedłbym tutaj!

Dobry sposób

Do siedzącego nad wodą z wędką w ręku młodzieńca, podchodzi policjant i każe mu zapłacić karę.

— Za co?

— Bo tu nie wolno łowić ryb.

— Ja nie łowię.

— Ale trzymasz pan w wodzie wędkę.

— Trzymam, ale nie łowię.

— Przecież widzę nawet na niej rybę.

— E, ja moczę śledzia.

W hotelu

— I cóż? — zapytuje właściciel hotelu portiera — czy ten Amerykanin strasznie klął kiedy przedłożyłeś mu nasz rachunek?

— Nie, panie gospodarzu. Dopiero wyszukuje w słowniku, bo — powiada — nie może na to znaleźć słów...

Obraźliwy rekrut

— Hej, rekrut! Co to takiego? Dopiero co siedziałeś w pace za nie oddawanie honorów i znów mi nie salutujesz?

— Bo, panie poruczniku... mnie się zdawało, że od tamtego czasu my się gniewamy...

Przyzwyczajenie drugą naturą

Nauczyciel przechodzi przez plac. Ogląda się i pyta policjanta:

— Gdzie jest ulica Królewska?

— Druga na prawo.

— Dobrze, proszę usiąść.

Trafna kalkulacja

— Wiesz, mam kłopot — nie wiem, co podarować mojej żonie na imieniny...

— Spytaj się najlepiej jej samej.

— O, toby mi wypadło za drogo.

Troskliwość

Pan Mizerkiewicz umarł. Pani Mizerkiewiczowa wdowa, po upływie pewnego czasu zaczyna dotkliwie odczuwać samotność i aby mieć w domu, jak to się mówi, „żywą duszę", kupuje — złote rybki. Nabywszy je informuje się u sprzedawcy:

— Proszę pana, a czem się karmi te rybki?

— Mrówczemi jajami, proszę pani — odpowiada sprzedawca.

— Ach, tak, a nie wie pan, czy te rybki jedzą te jaja na miękko, czy na twardo?

Dobre wychowanie

— Wasz synek uważa mnie niezawodnie za lekarza.

— Dlaczego?

— Bo pokazuje mi ciągle język.

Jedyny

— Kto był jedynym mężczyzną, który nie kłamał kobiecie?

— ???

— Adam, bo powiedział Ewie, że jest jedyną kobietą na świecie, którą, kocha.

Czcze pogróżki

Młoda mężatka przybiega z płaczem do swej matki.

— Ach, mamusiu, jaka jestem nieszczęśliwa! Czy wiesz, co mi Mietek przysiągł?

— No, cóż takiego, moje dziecko?

— Że mnie zamorduje, jak go kiedykolwiek zdradzę.

— Uspokój się, kochanie, uspokój — odpowiada czule mama. Twój ojciec też mi to samo niejednokrotnie mówił, a widzisz jakoś do tej pory żyję.

Prawdziwe świadectwo

Jegomość spotyka na ulicy małego żebraka rzewnie płaczącego.

— Co ci się stało, mały? — zapytuje miłosierny jegomość.

— A, bo... bo... proszę pana ten chłopak, co tam pędzi, ukradł mi papier...

— Jaki papier?

— Papier, w którym było zaświadczone jako ja jestem głuchoniemy od urodzenia...

Alkohol

Pani Malinowska przechadza się po parku ze swym synkiem.

W bocznej alejce siedzi na szczycie drzewa jakiś pijak i wymachując trzymaną w ręku butelką, śpiewa ochrypłym głosem piosenkę o Barbarze.

— Widzisz Wojtusiu — zwraca się pani Malinowska do swej latorośli — jak nisko człowiek może upaść przez alkohol!

Jubileusz

— Wczoraj byłem w operze na „Srebrnym weselu Figara".

— Ta opera nazywa się: „Wesele Figara".

— Ale na programach było wydrukowane, że grają już po raz 25-ty.

Kobieta

— Dlaczego pańska siostra jest ciągle w tarapatach pieniężnych, przecież odziedziczyła znaczny majątek po ojcu.

— Spadek może ona otrzymać według brzmienia testamentu dopiero po skończeniu 40-tego roku życia. A na to ona nie może się jeszcze zdecydować.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wy... aw... nictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.